

Powiat



Nr 1-2 (119-120), Styczeń-Luty 2011
Rok XI * ISSN 1730-7686

SŁUPSKI

Usteckie szkoły nadal osobno
Najwięcej energii odnawialnej
Wielcy wśród małych
Odlotowy Klemens
Protestanckie funeralia
Transformacja 1989 i co dalej?
Zawsze ta wieś gdzieś przede mną

Słupski Kolekcjoner

Wieś Tworząca



IV SESJA RADY POWIATU SŁUPSKIEGO - 22 i 28 LUTEGO 2011



Droży Czytelnicy!

Konieczność zrównoważenia wydatków bieżących z dochodami w budżecie powiatu, a także występujący od kilku lat niż demograficzny i zmniejszający się z każdym rokiem nabór do szkół ponadgimnazjalnych zmusił Zarząd Powiatu Słupskiego do podjęcia

działań, które pozwolą na realizację zadań oświatowych przy oszczędniejszym wydawaniu środków publicznych.

Zarząd przyjął harmonogram działań. Uzyskał już zgodę Rady Powiatu na dokonanie zmian w regulaminie określającym wysokość i warunki przyznawania nauczycielom dodatków. Niestety, Rada Powiatu na lutowej sesji nie zgodziła się na połączenie usteckich szkół, co było też jednym z przyjętych do realizacji zadań.

Połączenie szkół miało przyczynić się także do poprawy warunków nauki uczniom obu jednostek oświatowych, ale tak się nie stanie. Szkoły te będą musiały jeszcze same, każda z osobna, sprostać ogromnej konkurencji na rynku edukacyjnym i poprawić na nim swoją pozycję.

Już na początku minionej kadencji Zarząd proponował zmiany organizacyjne w usteckich placówkach. Ale niestety, podobnie jak niektóre obecnie proponowane, nie spotkały się one z aprobatą tamtejszych środowisk oświatowych. Nie zyskiwały także aprobaty wśród radnych. Problemy powiatowej oświaty, w tym szczególnie usteckich szkół znajdowały się zawsze w centrum uwagi Zarządu. Dowodem są na to uzyskiwane przez nasze placówki wyniki edukacyjne, przeprowadzone w nich remonty oraz zmiana ich wizerunku. Z myślą, i to głównie o usteckich szkołach wprowadzone zostały specjalne stypendia motywacyjne dla pierwszoklasistów, mające zachęcać ich do podejmowania nauki we wszystkich naszych szkołach.

Powiatowa oświata nie ma długów i nie ma w niej zapaści finansowej. Przyszedł jednak czas, w którym uznaliśmy, że dla lepszej jej przyszłości, w tym szczególnie ponadgimnazjalnych szkół w Ustce, niezbędne są zmiany. Nie ma sensu dokładać z budżetu powiatu do funkcjonowania placówek oświatowych w sytuacji, kiedy można wypracować taki sposób finansowania szkół, w którym, nic nie tracąc na jakości kształcenia i atrakcyjności, będą one utrzymywać się z subwencji i dochodów własnych. Do tego zmierzają zmiany, które chce wprowadzić obecny Zarząd Powiatu, zachowując publiczny charakter placówek oświatowych i nie likwidując żadnej ze szkół. Do takich działań zmusza gospodarność i znowelizowane prawo finansowe. Zarząd Powiatu nie zrobi jednak niczego bez zgody Rady Powiatu, tam gdzie jest ona wymagana.

Sławomir Ziemianowicz
Starosta Słupski

„POWIAT SŁUPSKI” - Biuletyn Informacyjny

Wydawca: Starostwo Powiatowe w Słupsku. Redaguje zespół: **Zbigniew Babiarz-Zych** (przewodniczący), **Maria Matuszewska** (z-ca przewodniczącego), **Artur Wróblewski**. Adres redakcji: Wydział Polityki Społecznej, Starostwo Powiatowe, 76-200 Słupsk, ul. Szarych Szeregów 14, tel. 59 842 54 17, fax 59 842 71 11; e-mail: zych@powiat.slupsk.pl; Skład komputerowy i łamanie: **Artur Wróblewski**. Zdjęcia: **Jan Maziejuk**. Druk: Zakład Poligraficzny „Grawipol”, 76-200 Słupsk, ul. Poznańska 42. Na okładkach: Elektrownie wiatrowe w gminie Kobylnica; ustecka Syrenka.

Biuletyn rozsyłany jest do radnych, parlamentarzystów, sołtysów, jednostek OSP, szkół, domów kultury, jednostek organizacyjnych powiatu, firm biznesowych oraz urzędów miast i gmin. Zamieszczony jest również na stronie internetowej: www.powiat.slupsk.pl

W numerze:

Usteckie szkoły nadal osobno	4
Pierwszy Konwent Samorządowców po jesiennych wyborach	4
Super Powiat po raz drugi	6
Najwięcej energii odnawialnej w powiecie słupskim	7
Mniej azbestu na dachach	7
Wielcy wśród małych	8
Centrum Aktywizacji Zawodowej	8
Odlotowy Klemens	10
Sekrety zachodu słońca	11
Odszedł Zbyszek Żynis	12
Na drogach duszy - spacer z Gustawem Vigelandem po Oslo i Krakowie	14
XI Festyn Wędkarski	14
Przygotowania do jubileuszu	15
Szkolni przyjaciele zwierząt	16
Praktyki z niepełnosprawnością	16
Protestanckie funeralia	17
Protestantyzm na Pomorzu	18
Krzyże i kapliczki przydrożne	19
Krzywiciel polskości owiany atlantyckim wiatrem	20
„Kresy” Anglii	22
W kafejce	23
Transformacja 1989 i co dalej?	25
Lulaj Boże Dziecię	28
Zawsze ta wieś gdzieś przede mną	28
Można wyrażać uczucia	31
Turniejowe zmagania kół	32
Pan Marek i jego psy	33
Szczęście jest w nas	34
Tropem 267 włóczęgów po Dolinie Łupawy	36
W Stowięcinie też mówiono po kaszubsku	37

Usteckie szkoły

Po przeprowadzeniu naboru do obu szkół we wrześniu, możemy stanąć przed bardzo trudnym problemem utrzymania tych placówek

Radni na poniedziałkowej sesji, 28 lutego br. zdecydowali, że obie usteckie szkoły ponadgimnazjalne nadal będą funkcjonować osobno. Druga część IV Sesji Rady Powiatu Słupskiego rozpoczęła się od głosowania nad projektem ustawy w sprawie utworzenia Zespołu Szkół Ogólnokształcących i Technicznych w Ustce z siedzibą w Ustce przy ul. Bursztynowej 12. Za utworzeniem takiego zespołu głosowało dziesięciu radnych, tyle samo było przeciwników, jedna osoba wstrzymała się od głosu.

Zanim do tego doszło odbyła się pierwsza część sesji, 22 lutego br. Mimo wcześniejszych zapowiedzi o wprowadzeniu zmian, długich i burzliwych dyskusji na posiedzeniach Zarządu i Komisjach, na sesji przez wiele godzin ponownie rozmawiano o usteckich szkołach ponadgimnazjalnych, w których drastycznie z roku na rok spada liczba uczniów. Na sali obrad w tym dniu pojawiło się wielu przedstawicieli usteckich

środków oświatowych oraz uczniowie gimnazjum i liceum. Aby umożliwić udział w dyskusji wszystkim obecnym, zmieniono porządek obrad, przenosząc podjęcie uchwały w sprawie utworzenia Zespołu Szkół Ogólnokształcących i Technicznych na ostatni punkt obrad sesji.

Rozpoczynając dyskusję nad projektem uchwały starosta słupski przedstawił uzasadnienie: - Rozwiązanie dwóch zespołów szkół nie spowoduje likwidacji szkół. Połączenie ich w jeden zespół pozwoli jednemu dyrektorowi prowadzić racjonalną politykę kadrową i finansową a uczniowie będą dalej uczęszczali do tych samych szkół. Utworzenie jednej wspólnej jednostki oświatowej w Ustce uchroni też od całkowitej likwidacji obu szkół, co mogłoby stać się z czasem z przyczyn naturalnych - demograficznych i miałyby destrukcyjny wpływ na dalszy rozwój tej gminy miejskiej. Z zestawienia od 2007 roku wynika,

iż w okresie do września 2010 roku liczba oddziałów w usteckich szkołach zmniejszyła się o dziewięć a liczba uczniów o ponad 280! Zaproponowane zmiany spowodują racjonalne wykorzystanie usteckich placówek i zmniejszenie wydatków ponoszonych na powiatową oświatę, a młodzieży zapewnią kształcenie w szkołach publicznych - powiedział Sławomir Ziemiałowicz.

W ostatnim tygodniu przed sesją pojawiła się propozycja przejęcia liceum przez Usteckie Towarzystwo Oświatowe i prowadzenia jako jednostki niepublicznej. Taka też idea przewijała się w wypowiedziach uczniów i przedstawicieli usteckich środowisk. Dyrektorzy szkół i związkowcy opowiadali się za odroczeniem decyzji jeszcze o rok. Starosta namawiał jednak do podjęcia tej trudnej decyzji już teraz, gdyż prognozy dotyczące naboru i liczby uczniów nie są optymistyczne. - Jestem orędownikiem utworzenia zespołu,

Fot. M. Matuszewska

Pierwszy Konwent Samorządowców

W dniach 3-4 lutego w Rowach odbył się pierwszy po jesiennych wyborach Konwent Samorządowców Powiatu Słupskiego



Na zaproszenie starosty wzięli w nim udział wszyscy burmistrzowie i wójtowie gmin z powiatu słupskiego, Roman Zabrowski, wojewoda pomorski, Czesław Elzanowski, członek Zarządu Województwa Pomorskiego, Marek Biernacki, radny Sejmiku, Andrzej Bury, wicestarosta, Maciej Kobylński, prezydent Słupska, Ryszard Stus, przewodniczący Rady Powiatu, Irena Tkaczuk-Kawalerowicz, sekretarz powiatu, Andrzej Gomulski, Komendant Miejski PSP, Tomasz Majkowski, zastępca Komendanta Miejskiego Policji, Mirosław Koźdoń, prezes Zarządu PKS Słupsk, zastępcy wójtów oraz przedstawiciele starostwa i inni goście. Wśród tematów poruszanych przez samorządowców znalazły się sprawy związane z kontynuacją współpracy powiatu, Policji, Straży Pożarnej i PKS-u z gminami w nowej kadencji. Wójtowie i burmistrzowie chętnie wymieniali się swoimi doświadczeniami w tym zakresie, wskazywali dobre rozwiązania i te, które się nie sprawdziły.

Po oficjalnym powitaniu przez starostę słupskiego Sławomira Ziemiałowicza,

Fot. M. Matuszewska

nadal osobno



bo zadaniem samorządu jest utrzymywanie szkół publicznych dla uczniów powiatu słupskiego i chcemy to robić w ramach posiadanych środków. Usteckie Towarzystwo Oświatowe nie może przejąć liceum, gdyż wiązałoby się to z jego likwidacją, a

ja i Zarząd takiej propozycji radnym nie składamy. Wszystkie argumenty, które padały w różnych wypowiedziach są nam znane i były szczegółowo rozważane. Możemy jeszcze bardzo długo debatować w tej sprawie, nie zwolni to jednak radnych z

podjęcia decyzji w tej niezwykle ważnej i trudnej kwestii, jaką jest publiczna oświata - mówił starosta.

Po wielogodzinnej dyskusji, podjęcie uchwały w sprawie utworzenia Zespołu Szkół Ogólnokształcących i Technicznych w Ustce przeniesiono na dalszą część sesji, w poniedziałek, 28 lutego br. o godzinie 15-tej.

Po ogłoszeniu wyników głosowania starosta Sławomir Ziemiałowicz m.in. powiedział: - Mimo braku zgody na połączenie usteckich szkół, będą podejmowane kolejne kroki i na następnej sesji przedstawimy kolejne propozycje zmian w oświacie. Nic nie uchroni nas od podejmowania trudnych decyzji, które zmierzają do racjonalnego i gospodarnego zarządzania placówkami oświatowymi w powiecie. Po przeprowadzeniu naboru do obu szkół we wrześniu, możemy stanąć przed bardzo trudnym problemem utrzymania tych placówek. W dobie bardzo mocno odczuwalnego niżu demograficznego może jeszcze bardziej dać o sobie znać problem dopłacania do oświaty - powiedział Sławomir Ziemiałowicz.

Maria Matuszewska
Kierownik Oddziału Promocji i Współpracy
w Starostwie Powiatowym w Słupsku

wców po jesiennych wyborach

głos zabrał Czesław Elznowski, który w zarządzie województwa będzie odpowiadać za sport, edukację oraz środowisko i rolnictwo. Przedstawił zakres planowanych działań i zadeklarował szeroką współpracę i wsparcie w realizacji zadań dla dobra mieszkańców gmin powiatu słupskiego. Zobowiązał się do przekazania wszystkich postulatów Urzędowi Marszałkowskiemu w Gdańsku.

Wojewoda Roman Zaborowski prowadził indywidualne rozmowy z wóldarzami gmin, którzy chcieli porozmawiać o sprawach lokalnych. Prezydent Maciej Kobyliński wręczył pamiątkowy medal jubileuszowy z okazji 700-lecia powstania grodu nad Słupią wojewodzie oraz burmistrzowi



Ustki, Janowi Olechowi i Markowi Bierneckiemu.

Prezydent zadeklarował współpracę z gminami i powiatem, szczególnie w zakresie wspólnej promocji ziemi słupskiej.

Tym samym nawiązał do pierwszego punktu programu Konwentu - propozycji połączenia słupskiego i usteckiego LOT-u. - Oficjalnie wystąpimy do Lokalnych Organizacji Turystycznych w Słupsku i Ustce

Fot. M. Matuszewska

oraz wszystkich samorządów z propozycją połączenia obu organizacji. Wymaga to pewnych działań formalnych, ale już dzisiaj chcielibyśmy zapoczątkować dyskusję na ten temat i poznać Państwa opinie. Połączenie wysiłku wszystkich samorządów i różnych organizacji dałoby większe możliwości wydawnicze i promocyjne walorów turystycznych ziemi słupskiej - zaproponował Sławomir Ziemianowicz.

Kolejnym punktem spotkania było ustalenie warunków współpracy. - Konwent ten traktuję jako otwarcie naszej współpracy i cieszę się z tego, że taką deklarację złożył również prezydent Słupska Maciej Kobyliński. Połączenie sił daje efekt dodatkowy, co pokazaliśmy już w poprzedniej kadencji, realizując w partnerstwie różne projekty. Ważne jest, abyśmy łączyli swoje siły i zamiary, a przede wszystkim wiedzieli o swoich przedsięwzięciach. Właśnie spotkania na konwentach mają nam ułatwić właściwy przepływ informacji. Będzie to doskonała okazja, by rozmawiać o swoich zamierzeniach, planach i możliwościach wzajemnego wsparcia. Zachęcam do współpracy i proszę o zgłaszanie tematów i propozycji na kolejne konwenty. Postaramy się zapraszać różnych gości, którzy będą mogli nam pomóc, doradzić czy nas przeszkolić - powiedział starosta.

Zasady współpracy Komendy Miejskiej Państwowej Straży Pożarnej w Słupsku z samorządami gminnymi w zakresie organizacji zawodów Ochotniczych Straży Pożarnych były kolejnym tematem spotkania, które przedstawił Andrzej Gomułski. Tomasz Majkowski przedstawił policyjne statystyki przestępstw w poszczególnych gminach w 2010 roku oraz

możliwości zapewnienia bezpieczeństwa, szczególnie w okresie letnim w pasie nadmorskim. Prezes słupskiego PKS-u przybliżył założenia nowej ustawy o publicznym transporcie zbiorowym i o obowiązkach samorządów gminnych w świetle nowych przepisów. Podkreślił konieczność stworzenia przez samorządy wspólnej sieci komunikacyjnej.

Maria Matuszewska, kierownik Oddziału Promocji i Współpracy zaproponowała wakacyjny wyjazd do Niemiec w ramach projektu „Zabawa w miasto - dzieci budują swój własny świat” dzieciom z gmin: Kobylnica, Słupsk, Damnica i miasta Ustki. Z pozostałych gmin dzieci wyjeżdżały w latach poprzednich. Takie wyjazdy są możliwe dzięki współpracy z powiatem Herzogtum Lauenburg. W tym roku piętnastcioro dzieci i dwóch opiekunów będzie przebywać w Mölln od 5 do 14 lipca, gdzie „Miasto Dzieci” otworzy swoje bramy dla młodych mieszkańców. Projekt ten przygotowuje i realizuje Związek Organizacji Młodzieżowych.

Elżbieta Tomczak, właściciel firmy SKK Patom z Gdyni zaprezentowała projekt infrastruktury szerokopasmowej. Przedstawiła program finansowania projektów, który opracował zespół inżynierów, finansistów oraz specjalistów od programów unijnych. Zwróciła uwagę na korzyści z inwestycji w sieć internetową, monitoring i inne technologie, które proponuje Motorola. Zaproponowała pozyskanie środków na te inwestycje z funduszy europejskich dla zainteresowanych gmin.

Krzysztof Łunkiewicz, naczelnik Wydziału Zarządzania Kryzysowego i Obronności ze starostwa mówił o perspekty-

wach realizacji zadań zarządzania kryzysowego, obronnych i obrony cywilnej w bieżącym roku w świetle nowej ustawy.

Dyskusja na temat zapobiegania bezdomności zwierząt oraz możliwościach leczenia po wypadkach zakończyła pierwszy dzień obrad. Problem ten przybliżyła Małgorzata Aziukiewicz, koordynator Towarzystwa Opieki nad Zwierzętami.

Wiele emocji wywołał kolejny temat, a dotyczył możliwości realizowania pomocy publicznej ze środków Funduszu Pracy. Janusz Chałubiński, dyrektor Powiatowego Urzędu Pracy przedstawił tegoroczne możliwości finansowe, które w porównaniu do ubiegłorocznych są dużo mniejsze. Z kolei o nadmiarze pieniędzy mówili pracownicy Banku Gospodarki Żywnościowej w Słupsku, oferując specjalnie przygotowaną ofertę pożyczkową dla rolników i producentów rolnych.

Interesujący projekt dotyczący przebudowy i doposażenia Edukacyjnego Centrum Zarządzania Kryzysowego Akademii Pomorskiej w Słupsku zaproponował Andrzej Urbanek, pracownik naukowo-dydaktyczny Katedry Bezpieczeństwa Narodowego AP. Starostwo będzie partnerem tego przedsięwzięcia, którego celem jest podniesienie jakości kształcenia studentów na tym kierunku.

Drugiego dnia obrad dyrektor Zarządu Dróg Powiatowych, Mariusz Ożarek zaprezentował planowane inwestycje drogowych w powiecie słupskim, które będą realizowane w ramach projektów lub w partnerstwie z gminami.

Maria Matuszewska
Kierownik Oddziału Promocji i Współpracy w Starostwie Powiatowym w Słupsku

Super Powiat po raz drugi

Powiat słupski otrzymał tytuł Superpowiatu w rankingu Związku Powiatów Polskich



Tytuł ten powiat słupski otrzymał po raz drugi. Pierwszy raz udało się go uzyskać za rok 2009. Ranking prowadzony jest cały rok, wyniki są aktualizowane online co pół godziny. Można na bieżąco monitorować punktację i klasyfikację powiatów,

gmin i miast na prawach powiatu. W roku 2010 powiat słupski zajął drugie miejsce. Związek Powiatów Polskich w rocznym zestawieniu ocenia osiągnięcia jednostek samorządowych. W poszczególnych kategoriach określona jest liczba punktów do

zdobycia za różne działania. Jeśli jednostka ma przyznane punkty w 75% kategorii pokazanych w zestawieniu, otrzymuje tytuł SuperPowiat. Powiat, który po zakończeniu rankingu w danym roku zajmie pierwszą pozycję, otrzymuje tytuł DOBRY POLSKI SAMORZĄD. Wśród bardzo szczegółowo określonych działań oceniane są m.in. promocja jednostki, posiadanie certyfikatów ISO, wsparcie społeczeństwa informacyjnego, działania proinwestycyjne i prorozwojowe, poprawa jakości obsługi mieszkańców, rozwój systemu informacyjnego oraz promocja rozwiązań ekoenergetycznych, proekologicznych i prozdrowotnych.(M.M.)

Najwięcej energii odnawialnej w powiecie słupskim

Na drugim miejscu uplasował się powiat iławski (4285 punktów), na trzecim myśliborski (3450). Powiat słupski otrzymał punkty za wykorzystanie wszystkich klasyfikowanych źródeł: energię biomasy, wiatru, wodną, otoczenia, geotermalną, słoneczną i inne. Doceniono powiat za różnorodne inicjatywy i inwestycje, które wpłynęły na tak wysoką pozycję, m.in. farmy wiatrowe, kolektory słoneczne, instalacje ciepłe na biomasę czy stare obiekty hydrotechniczne.

Gmina Kobylnica znalazła się również na pierwszym miejscu w tym rankingu - w kategorii gminy wiejskie. Ranking prowadzony jest z podziałem na cztery kategorie: powiaty, miasta na prawach powiatu, gminy miejskie i miejsko-wiejskie oraz gminy wiejskie. Od 1 stycznia do 30 grudnia 2011 roku prowadzona jest kolejna jego edycja. To jedyny w Polsce ranking samorządów zarządzany na bieżąco przez ekspertów w trybie online. Udział jest bezpłatny i mogą w nim uczestniczyć wszystkie samorządy z kraju. **(M.M.)**



Fot. J. Maziejuk

Powiat słupski otrzymał 6550 punktów i kolejny raz zajął pierwsze miejsce w rankingu energii odnawialnej prowadzonym przez Związek Powiatów Polskich w roku 2010

Mniej azbestu na dachach

Podsumowano realizację programu w 2010 roku wymiany eternitowych pokryć dachowych w powiecie słupskim

Do programu zakwalifikowano łącznie 70 nieruchomości. Planowano unieszkodliwić 144,26 Mg (9 016 m²) odpadów azbestowych. Ostatecznie demontażu eternitowych pokryć dachowych, transportu i unieszkodliwienia powstałych odpadów dokonano na 22 nieruchomościach. Na 40 nieruchomościach demontażu eternitowych pokryć dachowych dokonali właściciele na własny koszt. Ze środków programu pokryto tylko koszt transportu i unieszkodliwienia odpadów.

Ogółem usunięto i unieszkodliwiono na składowisku 113,497 Mg (7 212 m²) odpadów azbestowych. Koszt całego programu wyniósł 45 235,27 zł.

W powiecie słupskim zinventaryzowano ok. 13 tys. Mg azbestu, głównie pokryć dachowych. Zgodnie z terminem określonym w Programie usuwania azbestu i wyrobów zawierających azbest stosowanych na terytorium Polski, usunięcie wyrobów azbestowych winno być zakończone do 2032 roku. **(J.J.)**



Centrum Aktywizacji Zawodowej

W Powiatowym Urzędzie Pracy w Słupsku powstało Centrum Aktywizacji Zawodowej

Zgodnie z ustawą o promocji zatrudnienia i instytucjach rynku pracy w ramach powiatowych urzędów pracy musiały zostać wyodrębnione centra aktywizacji zawodowej. Zatrudnieni w słupskim CAZ-ie doradcy zawodowi i pośrednicy pracy zajmują się wyłącznie aktywizacją bezrobotnych. Ustalają z bezrobotnymi indywidualny tok ich rozwoju zawodowego, proponują szkolenia zawodowe lub inne formy aktywizacji - staże, przygotowania do zawodu w miejscu pracy, prace interwencyjne czy ro-

boty publiczne. Zadaniem Centrum jest także poszukiwanie ofert pracy oraz kojarzenie osób bezrobotnych z pracodawcami.

Słupskie Centrum znajduje się na II piętrze w budynku PUP przy ulicy Leszczyńskiego. Pracuje w nim 30 osób, 11 zatrudnionych jest w ramach realizowanego projektu „Rozwój i upowszechnianie usług rynku pracy”. Całkowity koszt utworzenia CAZ-u to 265 tys. zł; 212 tys. przekazało na jego uruchomienie Ministerstwo Pracy i Polityki Społecznej. **(M.H.)**

Fot. M. Matuszewska



Wielcy wśród małych

Korzystając z tego, że ciągle podróżował po kraju miał pozwolenie na niewielki handelek konserwami rybnymi, które woził m.in. do Bydgoszczy, Nakła, Grudziądza i zaopatrywał w nie stołówki przyzakładowe



Fot. J. Maziejuk

Odeszliśmy od smacznych, tradycyjnych, domowych posiłków i dań. Jednak mimo upływu lat nie da się często zapomnieć smaku babcinej zalewajki, parzybrody, smacznych pierogów z wiśniami czy jagodami, klusek gotowanych na parze i polanych śmietaną. Na szczęście są ludzie, którzy nie pozwalają nam zapomnieć o dawnych dobrych polskich smakach.

Pani Maria Jońca z Dębnicy Kaszubskiej niejednokrotnie zdobywała już nagrody i wyróżnienia w tzw. koszyku regionalnym organizowanym w Słupsku, na uroczystościach dożynkowych, pokopkowych, konkursach wielkanocnych. Wszędzie tam serwuje swoje słynne ruskie pierogi, krokiety, barszczyki, pierogi z kapustą i grzybami. Poznałam życie pani Marii

trochę bliżej. Ta drobna, niskiego wzrostu kobieta jakże jest silna, mierząc się z swoim życiem. Wprawdzie nie poznała czasu wojny, bo urodziła się tuż po niej, ale jako dziecko poznała smak tułaczki związanej z wysiedleniem z rodzinnej ziemi pod Przemysłem w 1947 roku. Rodzice wędrowali z jednego PGR-u do drugiego w poszukiwaniu pracy i domu. Ciągła zmiana otoczenia i szkoły nie wpływała dobrze na jej zdrowie. Kiedy tylko podrosła na tyle, by móc pracować, nie zwlekała długo. Pracę podejmowała, gdzie tylko się dało - na polach Państwowych Gospodarstw Rolnych, w Garbarni w Dębnicy Kaszubskiej, w sklepie. Ale przepłakanych nocy nikt nigdy jej nie zwrócił. Wyszła za męża, urodziła troje dzieci. W roku 1973 rozpoczęli z mężem budowę domu w Dębnicy Kaszubskiej, w którym obecnie mieszka z synem Roma-

prosi o popilnowanie dzieci, a to znów ktoś potrzebuje pierogów na bankiet... Ciągłe coś dobudowuje w swoim gospodarstwie i ulepsza. Obsiewa swoje ogródki warzywami, obsadza kwiatami i drzewkami, jesienią chodzi na grzyby do pobliskiego lasu, które wykorzystuje do swoich potraw. W piwnicy półki uginają się od słoików z przetworami, dojrzewają nalewki, kisi się kapusta w ogromnej beczce. Wszystko jest potrzebne, będzie wykorzystane do potraw.

Na Święcie Ryby w Słupska, pośród rozstawionych stoisk handlowych, jedno stoisko szczególnie przyciąga zapachem wędzonych ryb. Należy do Henryka Podkowy. Przetwórnę i wędzarnię ma w Ustce. Na pierwszy rzut oka niewielki to zakładzik z małym biurem. Miły gospodarz z uro-

skim w roli głównej. Ukończył uczelnię na Wydziale Katedry Fotografiki. Współpracował z Telewizją Łódzką, kręcił reportaże, współpracował z taką sławą telewizyjną na Pomorzu, jak Bogdan Żółtak. Nakręcił tysiące metrów taśmy filmowej. Był wziętym reporterem „Głosu Koszalińskiego. Reportaże ze Słupska wysyłał też do Łodzi.

Ima się nowych wyzwań, za zgodą ówczesnego Ministerstwa Finansów, otworzył m.in. wytwórnę papierów „Foton” wykorzystywanych w fotografii. Posiadał własny zakład fotograficzny w Słupsku. Razem z żoną prowadził pracownię artystyczną biżuterii z bursztynu i tworzyw sztucznych. Korzystając z tego, że ciągle podróżował po kraju miał, pozwolenie na niewielki handelek konserwami rybnymi, które woził m.in. do Bydgoszczy, Nakła, Grudziądza i zaopatrywał w nie stołówki przyzakładowe. Z czasem za-



Fot. J. Maziejuk

nem. Jej małżeństwo bardzo szybko się rozpadło. Sama kończyła budowę, pracowała i wychowywała dzieci. Kiedy wydało się, że już jest na „prostej” nieoczekiwanie los dotknął ją chorobą kręgosłupa. Długo się leczyła. Jakże była dumna z swojego najstarszego syna Marka, który okazał się poetą niezwykle wrażliwym na piękno przyrody. Odszedł bardzo wcześnie po ciężkiej chorobie, w wieku 33 lat. Maria nie może przeboleć śmierci syna. Pieczołowicie przechowuje wszystkie pamiątki po Marku. Na ścianie budynku jest umieszczona tablica poświęcona jego pamięci.

W roku 1994 zajęła się agroturystyką. Po tradycji sięga do regionu rzeszowskiego. Na każdym kroku w jej mieszkaniu można dojrzeć coś oryginalnego związanego z dawną małą Ojczyzną. Mając 57 lat, zrobiła sobie prawo jazdy i kupiła samochód. Telefony bez przerwy wydzwaniają, każdy czegoś potrzebuje, a to córka Jola

czym poczuciem humoru opowiada swoje niezwykle życie. Urodził się na wsi koło Buska. W jego rodzinnym domu podczas działań wojennych był szpital wojskowy. Od wczesnych lat dziecięcych interesowała go fotografia. Tak się dziwnie złożyło, że nie mając zbyt wielkiego powołania do służby wojskowej, odciągał ten fakt jak najdłużej. Przypadkiem będąc w odwiedzinach u swojej ciotki, poznał tam niecodziennego gościa. Nazywał się Jan Rybkowski. Był rok 1952. Słynny później filmowiec, poznając jego zainteresowanie fotografią, zaproponował mu Szkołę Filmową w Łodzi. Zaopatrzył nawet w list polecający do ówczesnego rektora uczelni, Jerzego Toeplitza.

Bez problemów zdał egzaminy i został przyjęty na uczelnię, której został absolwentem w 1956 roku. Jako pracę dyplomową wykonał zdjęcia do filmu w reżyserii Pawła Konorniego i Juliana Dziedzińskiego pt „Koniec nocy” ze Zbigniewem Cybul-

czął myśleć poważnie o własnym rybnym biznesie. Otworzył niewielką wędzarnię. Kiedy zauważył duże zainteresowanie i zdobył klientelę, powiększył zakład, zainwestował w urządzenia, zatrudnił pracowników.

Wędzi przeciętnie 300 kilogramów ryb miesięcznie - łososie, śledzie, makrele. Wszystkie w technice „na zimno”. Oznacza to, że temperatura takiego wędzenia nie przekracza 30 stopni C, a trwa ok. 20 godzin. Sam nie spuszczka oka z całego procesu, bo to niezwykle ważny etap produkcji. Oczywiście wcześniej ryby są odpowiednio przygotowywane w solankach, w ogromnych kadziach.

Pan Henryk swoją postawą daje przykład, że można w swoim życiu poszukiwać ciągle czegoś nowego i być w tym dobrym. A jest wiernym swojej zasadzie, że „lepiej być dużym wśród małych niż małym wśród dużych”.

Henryka Jurałowicz-Kurzydło, Słupsk

nakręcił tysiące metrów taśmy filmowej

Odlotowy Klemens

*Pan Klemens to nie-
poprawny marzyciel,
wieczny chłopiec,
któremu nadal trud-
no pogodzić się
ze światem realnym.
Zachwyca się bio-
grafią każdego
z podopiecznych...*



Sluchając okazjonalnie „Radia Koszalin”, z miłym zaskoczeniem wysłuchałam audycji „Odlotowi słupszczanie”, której „uskrzydloną postacią” był pan Klemens Rudowski - instruktor Domu Pomocy Społecznej w Lubuczewie. To miła dla mnie wiadomość. Przyznaję, że jest to postać nietuzinkowa, posiadająca bardzo dużą wiedzę, umiejętności i imponujące relacje z mieszkańcami. Jego współpraca z ludźmi chorymi wymaga szczególnych predyspozycji i kwalifikacji. Nie jest też zajęciem wy miernym. Jest procesem.

Żyjąc codziennym trudem spraw nego zarządzania, funkcjonowania i ogólnie rozumianej troski o naszych podopiecz nych, swoją satysfakcję z pracy podległych mi osób okazują zwykle drogą przewidzia ną Kodeksem Pracy. Przedtem jednak starannie i wnikliwie dokonują selekcji (oceny merytorycznej, predyspozycji, doświadc zzenia zawodowego) tych ludzi w okresie próbnym. Pomocną i logicznie uzasadnio ną metodą w doborze przeze mnie kadry jest postrzeganie jej z punktu widzenia i perspektywy mieszkańców. Ich zadowole nie lub nieokreślona niechęć do jakiegoś pracownika - decydują najczęściej o wize runku zatrudnionego i... o jego dalszym lo sie.

Do niedawna nasi mieszkańcy funk cjonowali w społeczeństwie. Mieli rodziny, potomstwo, pracę i najczęściej swoje troski. Są to często ludzie, którzy kiedyś (w co dziennym pędzie życia) nie usłyszeli dobre go słowa. (Każdy z nas istnieje przecież w dwóch bytach: materialno-socjalnym i du chowej świadomości). Wiem też, że ich sta ny niepokoju i trudne do określenia tęsk noty, poczucie anonimowości - to dla wielu osobista tragedia. W psychice tych ludzi to świat, w którym wydaje się nie być nadziei. Są oni zmęczeni bezsensu życiowej dro gi. Ukrywają też własną chorobę i starość, bo to przypomina o tym, co trudne, a nie o tym, co łatwe. Starość jest istotą ludzkiego życia, a nie ludzkiego posiadania.

Porozumiewanie się z nimi - w tej sy tuacji - jest niezwykle trudne. Taką „media cyjną” rolę, także nadzieję na wartościowe życie inspirowe i realizuje nasz pracownik Klemens Rudowski. Nawet wtedy stara się zmienić ten tok ich myślenia, głosząc na przykład: „Jeżeli już cię wszystko zawiodło, to pozostał jeszcze - dzień jutrzejszy”. Lubi też posiłkować się aforyzmami - oddają cymi przy tym jego chłopięcą osobowość - mówiąc: „najkrótsza droga między dwo jgiem ludzi prowadzi przez gwiazdy”. Au toironia jest jego drugą stroną osobowo-

ści: „dziewięćdziesiąt siedem lat żył będę, a umysł siedmioletniego dziecka do śmierci zachowam”. Posługując się autoironią, dla naszych mieszkańców wydaje się być jed nym z nich. Ludzie - tak naprawdę - sym patyzują z sobą nie za różnice ich dzielące, ale za podobieństwa. (Psychiczne, fizyczne, mentalne, ekonomiczne, polityczne itp.). Uważa też - utożsamiając się z nimi - że nie pełnosprawnością nie można się zarazić, ale głupotą ludzi normalnych - tak.

Pamiętam naszą pierwszą rozmowę w 2001 roku. Pomimo starannego wykształ cenia i doświadczenia zawodowego, w pra cy z ludźmi chorymi czuł się debiutantem. Zasugerowałam mu, że z człowiekiem cho rym - zwłaszcza psychicznie - należy roz mawiać jak z człowiekiem normalnym. Do radziłam też, żeby każdemu z nich dawać to, czego od nas oczekuje. Pan Klemens sam przyznaje po latach, że były to dla niego wskazówki bezcenne. Teraz, przypom ni na mi tamto „memento” z wdzięcznością. No cóż, „mądrzej głowie dość dwie słowie” - chciałoby się powiedzieć.

Odlotowy charakter i osobowość Kle mensa bywają czasem kontrowersyjne i dyskusyjne. No bo jak rozumieć jego my śłowe prowokacje: „kto to widział tańczyć jak mu zagrają”, albo „wszelka władza de prawuje, a władza absolutna - deprawuje absolutnie”. W kontaktach z pracownikami zwykle przyjmuje postawę prowokacyjną. Nie dlatego, żeby okazywać swoją wyż szość, ale żeby adwersarz mógł też wyka zać się wiedzą merytoryczną, moralnością, etyką - słowem - społecznym wyznacznikiem postępowania w życiu. Przymusza tym rozmówcę do autorefleksji, sugerując edukacyjną koncepcję życia. „Nasze CV nie może mieścić się tylko na pudełku od za pałek” - mawia z właściwym sobie przeką sem. Pomimo wieku przedemerytalnego, nie czuje się pracownikiem starszym, tylko „wcześniej urodzonym”! Nie czuje się też „wypalony zawodowo”, bo żeby się wypalić - żartuje kpiąco - trzeba najpierw się zapa lić! Tych z kolei w naszym społeczeństwie nie jest zbyt wielu.

Przyznaję, że nie zawiódł mojego za ufania, pomimo „odlotowego” charakteru. O swoich słabych stronach charakteru po informowałam mnie już na wstępie. Wyznając zasadę „miłość bez znieczulenia”, o spra wach wstydlivych, czy o sprawach suk cesu - mówi jednakowo uczciwie, bo jego etyka nie jest sprawą jednorazowego użyt ku. Przysługujące mu cztery dni urlopu „na żądanie” wystarczały na ewentualne „pry watne odloty”. Fakt, ma swoje słabości, ale

Fot. J. Maziejuk

Fot. J. Maziejuk



„jeśli ktoś z nas jest bez winy - niech pierwszy rzuci kamieniem”. Poza tym jest pracownikiem społecznym, wywiązującym się z zadawalająco z powierzonych obowiązków.

Pan Klemens - o czym wiedzą wszyscy mieszkańcy - związany jest wyjątkowo emocjonalnie z naszym Domem. Dał się poznać z wielu inicjatyw i przedsięwzięć daleko przekraczających zakres i miejsce pracy, bo jego sposobem istnienia jest kultura i wiedza. Zawsze to w nim ceniłam. Dla porządku tylko przypominam kilka jego spektakularnych działań zmieniających wizerunek osoby chorej w naszej społeczności. W roku 2006 był inicjatorem Drogi Krzyżowej „Misterium Męki Pańskiej” w Smołdzinie, której odtwórcami byli mieszkańcy Domów Pomocy Społecznej z Machowina, Machowinka, Przytocka i Lubuczewa. Z jego inicjatywy powstał klub poetycko-

literacki „Spoza nas”. Jest twórcą znanego i lubianego zespołu „Kaszubskie Echo”. Przemyslenia swoje o charakterze etyczno-filozoficznym od wielu lat publikuje w biuletynie „Powiat Słupski”. W ubiegłym roku otrzymał najwyższą nagrodę Starosty Słupskiego za osiągnięcia w kulturze - „Białego Bociana 2009”. Dał się też poznać jako muzyk, aranżer i wykonawca koncertów Bałtyckiego Festiwalu „Na wschodnią nutę”, organizowanego przez Akademię Pomorską w Słupsku.

Znając nie tylko wysoki poziom pracy zawodowej Pana Klemensa, ale i jego ciekawą osobowość, dedykuję naszemu „odlotowemu” instruktorowi - także w imieniu wszystkich podopiecznych i pracowników - fragment poezji Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego:

*Ileż to lat, ileż to lat trzeba chodzić po dniach,
po nocach, po schodach, po piętrach,*

*do ilu łomotać drzwi, w ilu szukać książkach!.../
ażeby znaleźć jakieś jedno zdanie, które do
serca komuś wejdzie i zostanie.*

Pan Klemens to niepoprawny marzyciel, wieczny chłopiec, któremu nadal trudno pogodzić się ze światem realnym. Zachwyca się biografią każdego z podopiecznych, bo jego pasją jest - tak naprawdę - życie! Jak każdy z nas, świat chciałby postrzegać „con amore”. Jeżeli zdarza mi się widzieć go prawdziwie uśmiechniętego, to tylko w towarzystwie naszych mieszkańców. Obowiązkiem naszym i gwarancją wolności powszechnej jest dostrzeganie innego człowieka i spełnianie powinności moralnych wobec niego. W tym aspekcie Klemens Rudowski zaspakaja oczekiwania nas wszystkich.

Marianna Kawiecka
Dyrektor Domu Pomocy Społecznej
w Lubuczewie

Sekrety zachodu słońca

Jest po prostu tak, że w przyrodzie - w odróżnieniu od matematyki, fizyki czy chemii - nie ma barier uniemożliwiających każdemu wstępu na jej teren w dowolnie wybranym miejscu i czasie. Przyroda istnieje, także jako warunek konieczny do naszego życia. Fakt ten nie może być zarty, tym bardziej rozłożony przez jakąkolwiek ideę czy spekulację.

Jest ona wprawdzie niszczone nieodwracalnie przez człowieka, ale jeszcze - istnieje. Przyroda jest także płaszczyzną nieustannych penetracji, starć i propozycji wykraczających poza siebie samą. Estetyzuje człowieka i sięga w sferę szeroko pojętej kultury. Znaczy to, że sztuka tkwi w każdym z nas, że istnieją wartości „wieczne”, trwają-

ce mimo wszelkich przemian kulturowych i przekształceń świadomości człowieka, podobnie jak aktualne są odwieczne pytania stawiane sztuce przez filozofię.

W mnogości zjawisk współczesnego świata życie to przede wszystkim - wysiłek duchowy, często nawet nieuświadomiony. To wrażliwość i otwarcie na wartości, także zdanie sobie sprawy z tragicznych kontrowersji „doli człowieczej”. Wkraczając niejako na drogę spekulacji powiem, że i piękno, i tragizm są poruszeniem, impulsem do dalszego życia, do próby zrozumienia „porządku świata”. To jakiś paradoks, ale kosmos i chaos, mikro i makro świat „porządkują” nasze jednostkowe życie, uczą pokory, ale i zachwyty. Nade wszystko jed-

*Wspomagając
i inspirując
do aktywnego
życia rolę przyjął
Środowiskowy
Dom Samopomocy
w Gardnie Wielkiej*

w szarości dnia codziennego, często nie zauważamy drugiego człowieka

nak pomagają zrozumieć i odnaleźć siebie, także zaakceptować swoje istnienie takim, jakim jest. Zdolność percepcyjna pomaga przekształcić nasze przeżywanie w swoisty rodzaj myślenia i zdobywania wiedzy, a nasze umiejętności poznawcze, znane jako „inteligencja uczuć,” czynią nas nie tylko biernym rejestratorem obserwowanych faktów, ale i prowokują do tworzenia artystycznego, rozumianego jako odczucia i reakcje. Zagadnienie „porządku” jest ściśle związane z życiem jednostki ludzkiej, nie ma ono więc charakteru abstrakcyjnego, ani też nie dotyczy wyłącznie organizacji życia zbiorowego. Przebiega ono w różnych układach odniesienia.

Esencją tej wypowiedzi jest przedstawienie osoby, ale i osobowości Antoniego Rybackiego, uczestnika Środowiskowego Domu Samopomocy w Gardnie Wielkiej. Ma pięćdziesiąt siedem lat. Od ponad roku wyraża chęć uczestniczenia w naszych zajęciach, także możliwości kontaktów interpersonalnych. Przede wszystkim jednak widzi i realizuje potrzeby rehabilitacyjne. Bliskość do naszego ośrodka, także możliwość satysfakcjonującego uczestnictwa - zawiera w sobie korzyści obopólne.

Przedstawiam za jego zgodą niektóre wydarzenia i fakty, które dają (niestety) jedynie ogólną orientację o zainteresowaniach, sposobie realizacji artystycznych pragnień w kontekście realnych możliwości. Obopólne zaufanie i życzliwość pozwoliło mi doszukać się skrywanej dotąd przez niego pasji, jaką jest fotografowanie. Zanotowałam niektóre wypowiedzi Antoniego: - Szkołę podstawową ukończyłem w Kazimierzu Biskupim. Ponieważ zawodem leśnika od pokoleń szczyła się rodzina ze strony ojca - poszedłem w ich ślady. Mój pradziad był przed wojną głównym leśnikiem u hrabiego Mańkowskiego. Dziadek też był leśnikiem. Zostałem przyjęty do Technikum Leśnego w Goraju. Ukończyłem szkołę w roku 1972. Przez jakiś czas też pracowałem w tym zawodzie. Trudno więc się dziwić mojemu ukochaniu przyrody. Nawet dziś czuję się z nią zjednoczony. Fotografuję zajmowałem się od lat chłopięcych. Do głowy mi nie przyszło, że moje „intymne” fotografowanie przyrody może kogokolwiek zainteresować, nawet zachwycić. Dziś z radością, ale i towarzyszącą mi jednocześnie trwogą - próbuję „usprawiedliwić” swoją pasję. Jestem tylko fotoamatorem, który

wyłącznie dla siebie próbował zatrzymać na zdjęciach „piękno chwili” zachodzącego słońca, także niesamowitego wrażenia, jakie wywołuje światło. Całe moje „wykształcenie fotograficzne” zawiera się tylko chyba w malarskim zachwycie przyrodą. Nie starczyło odwagi i - być może - zdolności do malowania czy rysowania. Możliwość fotografowania - rozwiązała ten problem. Dziś, po wielu latach, postanowiłem podzielić się rodzajem mojego zachwyty i fascynacji. Moje „Sekrety zachodu słońca” wcale nie dają mi poczucia „wschodzącego” fotografa - artysty. Są one tylko świadectwem mojego odczuwania i łączności z pięknem. Jeśli widzi Pani we mnie jakiś humanizm, a w moich zdjęciach jakiś artyzm - jest mi niezmiernie miło. Lepiej późno niż wcale! - dodał żartobliwie Antoni Rybacki.

Miło mi poinformować, że staraniem kierownika Gminnego Ośrodka Pomocy Społecznej nadałyśmy pasji naszego podopiecznego właściwą atmosferę. W szarości dnia codziennego, często nie zauważamy drugiego człowieka, nie mówiąc już o przeżywaniu. Dziś już jesteśmy oczarowane urokiem fotograficznych prac Antoniego Rybackiego. Czynimy też starania ma-

Odszedł Zbyszek ŻYNIŚ

Kto nie znał Zbyszka bliżej, ten osadzał go w kategoriach człowieka nawiedzonego, opętanego wiarą i czynieniem mistycznego dobra. W tym co robił był prawdziwy



Wielu z żyjących odchodzi w sposób nagły i niespodziewany, lecz nie wszyscy zasługują na pamięć szczególną 12 grudnia 2010 roku zmarł nagłą śmiercią Józef Zbigniew Żynis. To niepowetowana strata dla środowisk katolickich, politycznych i związkowych Słupska. Tam, gdzie się pojawiał, pozostawiał po sobie trwałe ślady w przedsięwzięciach, które inicjował. Zmarł na kilka dni przed swoimi najbardziej ulubionymi świętami bożonarodzeniowymi, dniami pokoju i dobroci. W moim życiu był zaledwie dziesięcioletnim przechodniem, ale skutecznie pozostanie w nim na zawsze. Wszystko w co się angażował, jak za dotknięciem czarodziejskiej różyczki przynosiło zaskakujące i nieoczekiwane efekty. Kochał ludzi i zarażał pozostałych swoją

miłością, nawet wtedy gdy na zawiść i obmowę przyszło mu reagować impulsywnie. Zwykł wtedy mawiać: iż Pan Bóg im wybaczy i kiedyś będą lepszymi.

Odeszła od nas postać nietuzinkowa, niedoceniona przez społeczeństwo za pracę jaką wkładał w zwielokrotnione działania, często kosztem rodziny i osobistego czasu, którego mu wiecznie brakowało. Z głową pełną różnych pomysłów udzielał się w religijnych i politycznych przedsięwzięciach słupskiej sceny wydarzeń. To on wraz z innymi organizował Oazy przy kościele św. Jacka, miejsca, w których skupiała się młodzież, która poprzez modlitwę i pieśni hartowała się do niełatwego życia w czasach narzuconego ustroju. On jeszcze nie tak dawno był inicjatorem nazwa-

nia jednej z ulic miasta imieniem papieża Benedykta XVI. Wspólnie z ks. Janem Gariatowiczem zorganizował festiwal pieśni religijnej i współdziałał na rzecz budowy kościoła w Smołdzińskim Lesie, trwale przyczyniając się do powstania tamtejszej wspólnoty parafialnej. Można o nim powiedzieć: gorliwy katolik, który z życia uczynił misję niesienia wiary i krzyża na przekór przeciwnościom współczesnego świata. Ten krzyż był jego znakiem szczególnym i emblematem rozpoznawczym. Kto nie znał Zbyszka bliżej, ten osadzał go w kategoriach człowieka nawiedzonego, opętanego wiarą i czynieniem mistycznego dobra. W tym co robił był prawdziwy. Zbyszek był przede wszystkim społecznikiem, wspomniałym związkowcem, długo-

jące na celu zorganizowanie wystawy tych fotografii nie tylko na terenie naszej gminy. Być może znajdą się ludzie życzliwi i wspomogą nasze wysiłki w zakupie dobrego aparatu fotograficznego. Byłoby to namiastką zadośćuczynienia za godne, choć trudne dopełnianie życia twórczością artystyczną, pomimo choroby i przemijania. Taka filozofia czyni z niego nie tylko zdolnego fotoamatora, ale i człowieka godnego szacunku powszechnego. Pomimo że los ograniczył jego możliwości sprawnego poruszania się, wnosi w nasze kontakty chłopięcy dowcip, radość życia, pozytywnie motywując nas wszystkich.

Na swój użytek uważam, że fotografie p. Antoniego Rybackiego zatytułowane „Sekrety zachodu słońca” - to powiększony wymiar samego siebie. I nie jest to sprawą przypadku.

Dla większej pewności, zasięgnęłam opinii p. Jana Maziejuka - znanego i uznanego na Pomorzu - artysty fotografa. Powiem tylko, że był wyraźnie poruszony, zaintrygowany i zainteresowany. Wyraził też chęć osobistego kontaktu, także podzielenia się wiedzą merytoryczną w tym zakresie. Dla naszego podopiecznego p. Anto-



Fot. A. Rybacki

niego, to niewątpliwe wyróżnienie i splendor.

Raz jeszcze udowadniam, że każda choroba (szczególnie przewlekła) nie jest odejściem od życia. Osoby naszej gminy z takim dyskomfortem nie muszą trwać w

utajeniu i samotności. Mogą przecież nadal rozkwiatać twórczo i zaznaczać swoje istnienie poprzez bycie jedynym i niepowtarzalnym, być niezbędnym elementem świata w kontakcie z rzeczywistością.

Maria Matczak, Gardna Wielka

letnim członkiem „Solidarności”, twardo egzekwującym pracownicze prawa. (...)

Pewnego lipcowego dnia 1998 roku zorganizowałem dla dzieci pierwszą zabawę na wolnym powietrzu, połączoną z malowaniem wymyślnych makijaży. Własnym samochodem zwoziłem sprzęt i dekoracje, załatwiałem pozwolenie kierownika ZGM i dzielnicowego policji. Zbyszek podszedł do mnie po zakończeniu imprezy na placu i powiedział: to, co Pan robi, jest piękne i niebywałe. Niby zwykłe słowa, które każdy wypowiedziałby w takiej chwili, ale w Jego ustach zabrzmiały inaczej, wzniosłej. Opanowało mnie wrażenie, że słowa te wypowiedział ksiądz, były natchnione i głęboko uduchowione. Wtedy też zaczęła się nasza znajomość, a w późniejszym okresie przyjaźń, która na różnych poziomach trwała do dnia Jego śmierci.

Zbyszek Żynis potrafił też irytować swoim bajecznym wizjonerstwem, rozumiałem jednak dla nielicznych. Z tych zabaw pod gołym niebem dla dzieci, których rodziców nie było stać, aby opłacić wyjazd na kolonie swoich pociech, potem zrodził się pomysł zorganizowania stowarzyszenia. Był pomysłodawcą jego nazwy - Stowarzyszenie na rzecz lokalnych inicjatyw - Domus. Główne jego filary to Zbyszek Żynis i Krzysztof Smugała - nauczyciel informatyki w Technikum Mechanicznym. Stowarzyszenie skupiało ludzi różnych profesji, przede wszystkim jednak społeczników i wolontariuszy. Miało charakter grupy chrześcijańskiej wspólnoty zaangażowanej prospołecznie i politycznie na rzecz poprawy losu dzie-

ci z rozbitych rodzin, rozbudowy świetlic dzielnicowych ze wskazaniem na zajęcia terapeutyczne i organizowania licznych kół zainteresowań, budowy, szczególnie w starych dzielnicach miasta bezpiecznych placów zabaw dla dzieci. Zbyszek opowiadał mi, jak goszcząc u znajomych w Holandii, był uczestnikiem święta patrona ulicy, przy której mieszkał. Z domów wyszli mieszkańcy, roztawili stoły, była jakaś muzyka, wszyscy się bawili, śmiali i po prostu byli szczęśliwi. Rozważał na wzór tamtego zorganizowanie takiego święta u nas, lecz stanowczo mu odradziłem, argumentując to biurokratycznymi przesłankami skutecznie niwelującymi Jego zapał. Kolejnym pomysłem Zbyszka było zorganizowanie w strukturach stowarzyszenia kwesty w instytucjach i urzędach miasta, sklepach, dworcach, restauracjach pod wspólną nazwą „Wielkanocny koszyczek miłości”.

W wolnych chwilach po pracy wraz z grupą młodzieży szkolnej, głównie z gimnazjów i liceów zanosiliśmy nasze kolorowe kartonowe puszkę, a charyzmatyczny Zbyszek przekonywał niedowiarków, że warto próbować. Zawsze przypominał o potrzebie rozmowy. Ze zgromadzonych funduszy chcieliśmy wyremontować przyznany (w końcu) przez władze miasta niszczący budynek przy placu zabaw na ulicy Małachowskiego, lecz zgromadzone środki wystarczyły jedynie na utworzenie boiska do piłki nożnej. Finałem akcji był festyn rodzinny pod nazwą „Przystanek Domus”, zorganizowany w parku kultury i wypoczynku 2 maja 2000 roku, z licznymi

konkursami i nagrodami, występami zespołów dziecięcych z MCK-u i MDK-u, grup rockowych, grupy bluesowej De Colours. Niejako imprezą towarzyszącą tego samego dnia był mecz pomiędzy zespołami piłkarskimi policji i straży pożarnej na boisku szkoły podstawowej nr 9, za wstawieniem i ogromną życzliwością dyrektora placówki Jadwigi Dziecielskiej. Z braku odpowiedniej siedziby jeszcze długo w tej szkole odbywały się zebrania i większe imprezy inicjowane przez członków stowarzyszenia dla integracji środowiska mieszkańców i społeczności szkolnej.

Z reporterskiego obowiązku należy w tym miejscu odnotować bardzo głębokie zaangażowanie w prace stowarzyszenia posła i późniejszego dyrektora Państwowej Inspekcji Pracy - Romana Giedrojcia. Gdyby nie jego wsparcie, niejednokrotnie finansowe, stowarzyszenie nie zrealizowałoby przyjętych zadań. Jego ojcowską opiekę odczuwaliśmy wszyscy. Zbyszek wyróżniany był w szczególny sposób. Zorganizował również przy znacznym udziale Igora Strąka koło młodych przy ZCHN w Słupsku. Nasze drogi w pewnym momencie rozeszły się, ale zawsze wspierałem Go emocjonalnie w dalszych działaniach. Z inicjatywy Zbyszka stowarzyszenie corocznie w okresie świąt Bożego Narodzenia przyznawało statuetki Świętego Mikołaja Biskupa osobom, które aktywnie działały na rzecz dzieci. Prawdopodobnie ostatnim Jego sukcesem była opieka nad drużyną piłki ręcznej młodzieży Salus.

**Czesław Bronisław Kowalczyk
Słupsk**

zwykł wtedy mawiać: iż pan bóg im wybaczy i kiedyś będą lepszymi

Na drogach duszy - spacer z Vigelandem po Oslo i Krakowie

Muzeum Narodowe w Krakowie przybliżyło nam dzieła najstynniejszego rzeźbiarza skandynawskiego



Fot. W. Lipczyński

Oslo - stolica Norwegii - kraju jasnych nocy, gór i morza, skalistych fiordów, lodowców i bezludnych przestrzeni. Spacer po starej zabudowie miasta wydaje się monotony i mało ciekawy. Mieszkańcy są senni, poważni, obdarzeni przygniatającą melancholią, są spostrzegani jako indywidualiści, sentymentalnie zakochani w naturze swojego kraju. Na peryferiach powstają nowe inwestycje - dyna-

micznie rozwijająca się stolica jest wielkim placem budowy. Za pozyskane „petrodolary” z dna Morza Północnego, przeobraża się miasto na oczach cudzoziemców, którzy z podziwem obserwują nowe arterie komunikacyjne, tunele podziemne, estakady - inwestycje drogowe i kolejowe, które łączą dalekie tereny z centrum miasta.

Idąc od dworca wschodniego reprezentacyjną ulicą Karl Johans gate, prze-

chodząc obok miejscowego uniwersytetu i pałacu królewskiego i dalej podążając na zachód miasta, do ulicy Kirkeveien - mamy to, co stanowi jego osobliwość, która pozostaje na zawsze w pamięci turysty i skłania do głębszej refleksji nad nieprzemijającym pięknem - imponujące założenie ogrodowe - parkowe Frognerparken z kompleksem obiektów: stadionem, kąpieliskiem i muzeum. Wszystkie te obiekty

XI Festyn Wędkarski

Prawie osiemdziesięciocentymetrową troć złowiono na Słupiu podczas zawodów wędkarskich „Łosoś 2011”

Zawody odbyły się 1 stycznia br. w Słupsku. Już od samego rana zaroilo się od rybaków nad Słupią, która jest jedną z bogatszych rzek łososiowo-trociowych w Polsce. Najdłuższa z wyłowionych troci mierzyła 79,6 cm, a złowiła ją Krystyna Witkowska, która otrzymała Puchar Starosty Słupskiego. Zajęła również II miejsce w ogólnej klasyfikacji za dwie trocie o łącznej długości

118 cm. Natomiast zwycięzcą zawodów został Adam Solak, jego trocie w sumie osiągnęły długość 124,5 cm. Na trzecim miejscu uplasował się Janusz Janowski, którego trocie mierzyły 117 cm. W ogólnopolskich zawodach wzięło udział 127 wędkarzy z całej Polski, a do konkursu zgłoszonych zostało 20 troci. Laureaci trzech pierwszych miejsc otrzymali puchary i dyplomy.

Starosta Słupski ufundował również nagrody dla najstarszego (Stanisława Goli) i najmłodszego uczestnika Festynu (Marcelego Pietrykowskiego), a także dla laureatów trzech pierwszych miejsc w przeprowadzonym Konkursie Wiedzy Ekologicznej. Wygrał go Marcel Pietrykowski, Oskar Zieliński zajął drugie miejsce, a Marianna Micińska - trzecie.

Fot. J. Maziejuk

Gustawem Krakowie

usytuowane są w pięknej oprawie naturalnej przyrody.

W centrum tego założenia znajduje się największa atrakcja stolicy Norwegii - Park Vigelanda, po norwesku Vigelandsanlegget. Park składa się z 212 naturalistycznych rzeźb z kamienia i brązu mających symbolizować losy człowieka. Artysta wspomagany przez zespół kamieniarzy i rzeźbiarzy poświęcił temu projektowi trzydzieści lat życia i pracował aż do śmierci. Gustaw Vigeland zmarł w 1943 roku, a park rzeźb, według jego projektu, był realizowany po jego śmierci przez władze miejskie Oslo.

Największym entuzjastą sztuki Vigelanda i jego przyjacielem był Stanisław Przybyszewski. Meteor Młodej Polski - był naczelnym redaktorem pisma „Życie” w Krakowie. Z pasją propagował sztukę swego norweskiego przyjaciela, pisząc o nim do kilku pism europejskich. Esej Przybyszewskiego „Na drogach duszy” i zamieszczone reprodukcje rzeźb Vigelanda stanowiły przewodnik artystyczny dla bohemy nie tylko krakowskiej. Najstynniejsze dzieło artystyczne Vigelanda - relief pt. „Pień” przedstawiający szatana w postaci młodego nagiego mężczyzny, wzbudziło zachwyt u Przybyszewskiego, zaskoczyło pruderyjną opinię publiczną Krakowa i w konsekwencji wywołało skandal obyczajowy. Pismo „Życie”, które propagowało tę rzeźbę, upadło pod wpływem presji społecznej.

W ubiegłym roku Muzeum Narodowe w Krakowie wspólnie ze stroną norweską przygotowało wystawę „Na drogach duszy

- Gustaw Vigeland a rzeźba polska 1900”. Było to największe przedsięwzięcie muzealne tego rodzaju w ostatnich latach. Wystawę od czerwca do sierpnia pokazywano w Oslo, jako pierwszą w Norwegii ekspozycję rzeźby polskiej.

Norwegowie podziwiali rzeźbę polską i doszukiwali się podobieństwa z twórczością Vigelanda. Według historyków sztuki, twórczość tego ostatniego odbiła się wyraźnym echem w polskiej sztuce tamtego okresu. Do końca grudnia ubiegłego roku wystawa była eksponowana w Muzeum Narodowym w Krakowie. Obok prac Vigelanda znajdowały się na niej dzieła okresu Młodej Polski - Konstantego Laszczka, Xawerego Dunikowskiego, Bolesława Biegasa, Edwarda Wittiga, Wacława Szymanowskiego, Stanisława Wyspiańskiego i innych, którzy na trwale zapisali się w kulturze polskiej.

Okres około roku 1900 jest uznawany za „złote lata polskiej rzeźby”. Sam Vigeland był reprezentowany w Krakowie przez trzydzieści cztery rzeźby związane z wczesnym okresem jego twórczości. Sugestywna aranżacja wystawy pozwoliła przedstawić wszystkie rzeźby w działach tematycznych określających stany emocjonalne człowieka. Vigeland po mistrzowsku zapisał w brązie, gipsie i białym marmurze ludzkie emocje, uczucia, stany duchowe. Przedstawia w swoich dziełach specyficzną odmianę symbolizmu opartego na naturalistycznym studium ludzkiej postaci, zawierające stany melancholii, namiętności, perwersji, starości rodziny.

Muzeum Narodowe w Krakowie przybliżyło nam dzieła najstynniejszego rzeźbiarza skandynawskiego i towarzyszących polskich rzeźbiarzy. Rzeźbiarze tego okresu kierowali się w swoich artystycznych pasjach „drogami duszy” oraz przekazywali w swoich dziełach prawdy najbliższe każdemu człowiekowi, wiedzę o ciele człowieka jako nośniku ludzkich emocji.

Włodzimierz Lipczyński, Słupsk

Podczas Festynu przeprowadzono także Konkurs Wiedzy Wędkarskiej, który wygrała Marianna Micińska, kolejne

miejsca zajęli Marcel Pietrykowski i Oskar Zieliński. **(D.W.)**



Przygotowania do jubileuszu

Kończą się wieloletnie starania kępickiej wspólnoty parafialnej o przywrócenie dawnej świetności kościołów w Kępicach, Osowie oraz Warcinie. Prace zostaną sfinalizowane na początku maja i zakończą uroczystości jubileuszu 40-lecia kępickiej parafii. Patronat nad nimi objął starosta słupski Sławomir Ziemiałowicz

Kępicka parafia została erygowana dekretem Biskupa Ordynariusza Diecezji Gorzowskiej Wilhelma Pluty 31 maja 1971 roku. Wydarzenie to stało się przełomowym – zainicjowało wprowadzenie wielu zmian. Dzięki poświęceniu kolejnych proboszczów i wielu parafian, którzy napotykali trudnienia ze strony władz świeckich, nieprzychylnie nastawionych do jakichkolwiek form życia religijnego, udało się przeprowadzić konsekrację kościoła, otrzymano zgodę na budowę kościoła w Warcinie, poświęcono kaplicę dolną. W kościołach przeprowadzane zostały bieżące remonty, m.in. schodów, okien, elewacji, wieży czy zakrystii.

Obecnie prowadzony jest ostatni etap prac remontowych. W Osowie wymieniony zostanie dach, przywrócone zostaną do stanu pierwotnego ławki oraz kropielnica, natomiast w Kępicach trwają przygotowania do prac we wnętrzu kościoła.

Równolegle do przebiegających w kępickiej parafii renowacji odbywać się będą przygotowania duchowe do beatyfikacji Jana Pawła II. Wśród licznych uroczystości kościelnych i świeckich przewidziana jest m.in. 21 maja msza święta jubileuszowa, którą odprawi ksiądz biskup Edward Dajczak (młodzieży udzielony zostanie Sakrament Bierzmowania). Na 29 maja zaplanowano mszę świętą, którą odprawią księża pracujący w parafii. Odbędzie się też festyn parafialny. **(A.P.)**

W 2010 roku oddział słupski Towarzystwa Opieki nad Zwierzętami otrzymał dotację z Programu Operacyjnego „Fundusz Inicjatyw Obywatelskich” na realizację projektu „Pomagam Wam pomagać”

Szkolni przyjaciele zwierząt



Fot. M. Aziukiewicz

Projekt o wartości prawie 93 tysięcy złotych realizowano w partnerstwie z gminami: Kobylnica, Dębica Kaszubska, Słupsk i Ustka. Chodziło w nim o rozwój szkolnego wolontariatu działającego w obszarze ekologii oraz zaktywizowanie dwudziestu szkolnych kół przyjaciół zwierząt. Zorganizowano konferencję na temat rozwoju szkolnego wolontariatu. Na temat edukacji humanitarnej prowadzonej w latach 2006-2010 przez słupski Oddział Towarzystwa Opieki nad Zwierzętami, wypowiedziała się koordynator projektu, Małgorzata Aziukiewicz. Prezes Zarządu Głównego TOZ - Eugeniusz Rągiel przedstawił przykłady dobrych praktyk współpracy z samorządami. Zastępca pomorskiego wojewódzkiego lekarza weterynarii w Gdańsku - lek. wet. Paweł Niemczuk mówił na temat prowadzonych wspólnych działań interwencyjnych i kontroli schronisk dla zwierząt. Komendant Państwowej Straży Łowieckiej w Słupsku - Krzysztof Łunkiewicz

wicz poruszył kwestię zwierząt dzikich w aglomeracjach miejskich.

W ramach realizowanego projektu zorganizowano również szkolenie dla funkcjonariuszy Straży Gminnych na temat zasad podejmowania interwencji oraz kontroli dobrostanu zwierząt i procedur prawnych wynikających z ustawy o ochronie zwierząt.

Projekt podsumowano 3 grudnia w Centrum Edukacji Regionalnej w Warcinie. Członkowie szkolnych kół przyjaciół zwierząt zaprezentowali efekty swojej pracy. Uczniowie Szkoły Podstawowej w Charnowie odegrali scenkę teatralną. Członkowie koła w Zaleskich kontynuowali akcję miesięcznika „Mój pies” i TOZ-u „Zrywamy łańcuchy”. Każdy mógł przypiąć się łańcuchem do przywiezionej przez dzieci budy i poczuć jak smutny jest los podwórzowych psów, nigdy niespuszczanych z łańcucha.

Małgorzata Aziukiewicz
Słupsk

Praktyki z niepełnosprawnością

Praca w starostwie była prawdziwym egzaminem zawodowym

W 2004 roku przy Specjalnym Ośrodku Szkolno - Wychowawczym im. Marynarza Polskiego w Damnicy powołano Szkołę Specjalną Przystosobiaczą do Pracy, której oferta jest skierowana do absolwentów gimnazjum - uczniów z niepełnosprawnością intelektualną w stopniu umiarkowanym lub znacznym oraz uczniów z niepełnosprawnością sprzężoną. Szkoła ta z roku na rok otwiera nowe oddziały o wybranych kierunkach przysposobienia do pracy. Programy nauczania dostosowywane są do możliwości psychofizycznych uczniów, są dalece zindywidualizowane i oparte na innowacjach.

Oczekiwanym efektem edukacji jest opanowanie podstawowych umiejętności i czynności z zakresu realizowanego profilu kształcenia, poznanie i umiejętne przestrzeganie podstawowych zasad BHP, a także przygotowanie do podjęcia samodzielnej lub wspomaganiej pracy na wolnym lub chronionym rynku pracy.

W roku szkolnym 2008/09 powstała klasa o profilu pomocnik obsługi biura. Wychowawstwo objęła autorka programu na-

uczania - Elżbieta Tyszkiewicz. Nowy profil edukacji okazał się atrakcyjnym, a działania praktyczne uczniów szybko znalazły akceptację pracowników ośrodka. Przez ponad półtora roku uczniowie na zajęciach uczyli się kserować i drukować przygotowane pomoce dydaktyczne, przepisywali teksty, tworzyli różnorodne dokumenty graficzne. Wspierali również pracę sekretariatu, wykonywali proste zlecenia dla pracowników administracji.

Kolejnym etapem było podjęcie praktyk w zakładzie pracy. Wyzwanie przyjął Starosta Słupski. Podpisano porozumienie i od 18 marca do końca czerwca 2010 roku, w każdy czwartek pod opieką nauczycielki Doroty Nowak uczniowie realizowali zajęcia praktyczne w Starostwie Powiatowym w Słupsku.

Uczniowie zostali bardzo miło przyjęci w urzędzie. Podczas cotygodniowych wizyt młodzieży zlecano wykonywanie prostych czynności biurowych w różnych wydziałach i komórkach organizacyjnych starostwa. Na zakończenie roku szkolnego uczniowie wykonali prezentację multi-



Fot. Archiwum

medialną o odbytych praktykach zawodowych.

Dla młodzieży o specjalnych potrzebach edukacyjnych praca w starostwie była prawdziwym egzaminem zawodowym. Praktyczne zajęcia, poza sferą edukacyjną, dały młodzieży szansę na integrację ze środowiskiem i sprawdzenie się w nowych sytuacjach.

Dorota Nowak, Elżbieta Tyszkiewicz
Specjalny Ośrodek Szkolno-Wychowawczy im. Marynarza Polskiego w Damnicy

Protestanckie funeralia

Funeralia - to wartości kultury materialnej żałobnej, związane z pochówkiem i różnymi przedmiotami towarzyszącymi zmarłemu w jego ostatniej drodze

Ekspozycja nie tylko przybliży wiedzę o historycznych tradycjach pogrzebowych, ale jest jednocześnie apelem do mieszkańców Pomorza o ochronę przed zniszczeniem wszelkich pamiątek kultury protestanckiej.

Włodzimierz Lipczyński
Słupsk

Wydarzeniem niecodziennym w Muzeum Pomorza Środkowego w Słupsku jest unikalna w skali ogólnopolskiej wystawa pt. „Protestanckie funeralia na Pomorzu od XVII do połowy XX wieku”. To śmiałe przedsięwzięcie ma na celu przybliżenie 450 lat istnienia protestantyzmu na Pomorzu, na podstawie zachowanych funeralii. Funeralia to wartości kultury materialnej, żałobnej, związane z pochówkiem i różnymi przedmiotami towarzyszącymi zmarłemu w jego ostatniej drodze oraz utrwalaniu o nim pamięci.

Wystawa prezentuje epitafia, nagrobki, sarkofagi, tablice pamiątkowe, krzyże, okucia trumienne, szaty pośmiertne, biżuterię, inne detale pochówkowe. Dzięki szczególnym staraniom dyrektora muzeum Mieczysława Jaroszewicza i kuratora Anny Brochockiej. Wystawa została starannie opracowana naukowo i przygotowana dla zwiedzających. Jej uzupełnieniem jest wydany szczegółowy katalog z opisem eksponatów, które można pogrupować w zależności od miejsca pochodzenia oraz pełnionej funkcji. Najliczniejszą grupę stanowią epitafia, które były zamieszczone w kościołach. Służyły uczczeniu pamięci zmarłego i nie zawsze były związane z miejscem pochówku. Inna grupa to nagrobki, krzyże, ogrodzenia - nieodzownie związane z cmentarzem.

Szczególną grupę stanowią cynowe sarkofagi. Ekspozycje pochodzą z siedmiu pomorskich muzeów regionalnych.

Do wystawy została włączona stała ekspozycja „Skarby Książąt Pomorskich” i sarkofagi z kościoła św. Jacka ze Słupska. Przedstawione pamiątki po ostatnich Gryfitach nawiązują do największego odkrycia na Pomorzu w lipcu 1977 roku. Było nim odnalezienie w kościele św. Jacka w krypcie pod ołtarzem głównym - sarkofagu Anny de Croy (ostatniej Gryfitki) zmarłej w 1660 roku i jej syna Ernesta Bogusława, zmarłego w 1684 roku.

W kościele tym znajduje się bogate w zdobnictwo epitafium Anny de Croy oraz barokowy nagrobek z czarnego i białego marmuru klęczącego Ernesta Bogusława.

Kościół św. Jacka spełniał na przestrzeni dziejów również funkcję kaplicy zamko-

wej i był też miejscem pochówków protestanckich osób z dworu książęcego. Prezentowane na wystawie cynowe sarkofagi księżnej i jej syna przedstawiają bogactwo sztuki zdobniczej i są potwierdzeniem kunsztu rzemiosła artystycznego II połowy XVII wieku. Dekoracyjne ozdoby na sarkofagach to m.in. cięte kwiaty przypominające o kruchości życia doczesnego, szereg tarcz herbowych świadczących o wysokim urodzeniu zmarłych i powiązaniu ich z wielkimi ówczesnymi rodami.

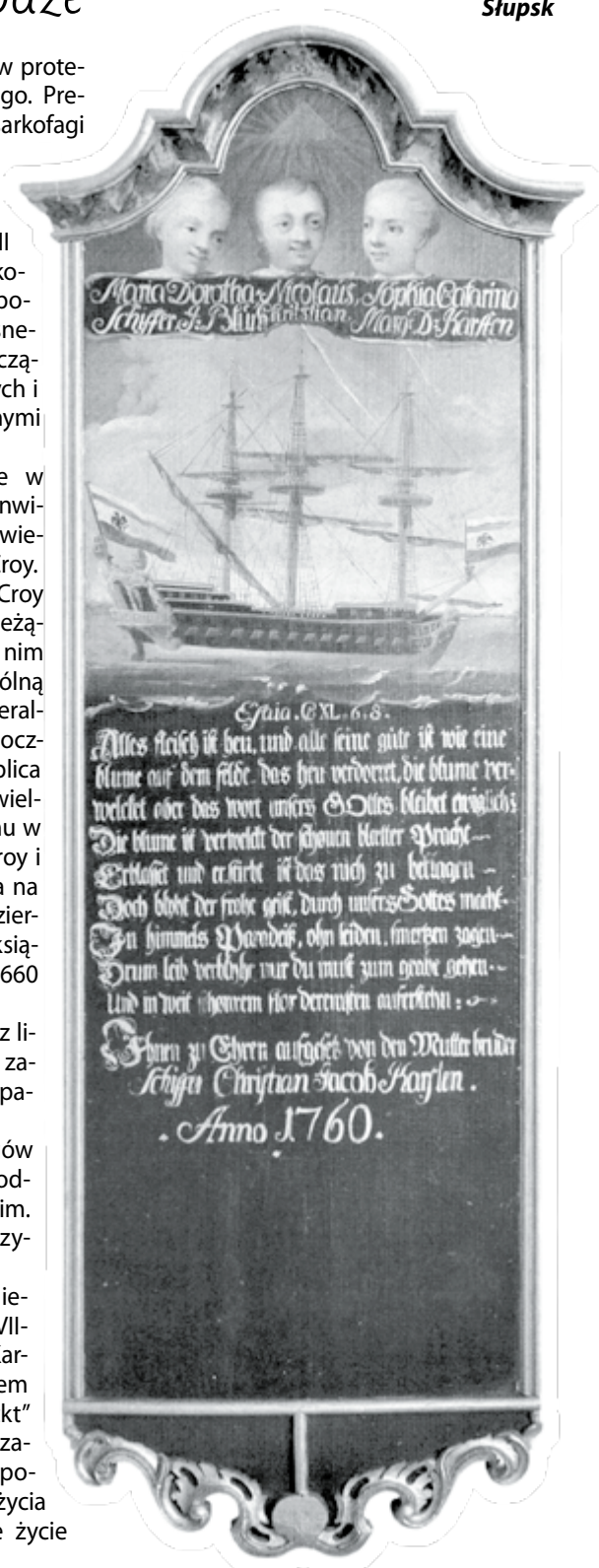
Sarkofagi zostały wykonane w manufakturze gdańskiej przez konwiarza Salomona Gieselera na zamówienie księcia Ernesta Bogusława de Croy.

Sarkofag księżnej Anny de Croy wsparty jest w narożnikach na leżących gryfach, wyróżniają się na nim elementy dekoracyjne. Szczególną uwagę zwraca również program heraldyczny umieszczony na ścianach bocznych, a na ścianie frontowej - tablica z inskrypcją: „Jaśnie oświecona i wielmożna księżna i pani Anna, z domu w Szczecinie na Pomorzu, księżna Croy i Arshott etc, etc wdowa. Urodzona na zamku książęcym w Bardo 3 października 1590 roku, w Bogu odeszła w książęcym domu w Słupsku, 7 lipca 1660 roku.”

Zmarła księżna była ostatnią z linii Gryfitów, dlatego jej syn Ernest zadbał o szczególne utrwalenie jej pamięci.

Z eksplorowanych sarkofagów wydobyto tkaniny, biżuterię i poddano zabiegom konserwatorskim. Obecnie stanowią one stałą ekspozycję w muzeum.

Dla zwiedzających wystawa niesie przesłanie zaczerpnięte z XVII-wiecznego epitafium rodziny Karsten. Zgodnie z oryginalnym zapisem brzmi ono: „Die blume ist verwelcktt” („Zwiadł już kwiat”). Przesłanie to zaczerpnięte z księgi Izajasza przypomina nawoływanie do zmiany życia doczesnego w nadziei na lepsze życie wieczne.



Protestantyzm na Po

Nowa religia zmieniła oblicze kościołów, wprowadzono nową liturgię, utworzono konsystorz i urząd superintendenta. Powstawały parafie, gminy i zbory, w kościołach zaczęto odprawiać nabożeństwa w nowym obrządku

W burzliwych dziejach Pomorza szczególnie miejsce ma okres wprowadzenia z Niemiec protestantyzmu Marcina Lutra. Jest on związany z działalnością Jana Bugenhagena (1485-1558). Pochodził z senatorskiej rodziny z miasta Wolin i już na studiach w Greifswaldzie interesował się Pismem Świętym. Wykazywał szczególną duchowość. W dwudziestym roku życia został nauczycielem i rektorem szkoły łacińskiej w dzisiejszym Trzebiatowie, w 1509 roku wstąpił do klasztoru białobłockiego, przyjmując święcenia zakonne.

Po zapoznaniu się z twórczością Marcina Lutra stał się jego orędownikiem, głosił jego tezy. Za swoją działalność był prześladowany i musiał uciekać do Wittenbergi. Tam został bliskim współpracownikiem i przyjacielem Lutra oraz pierwszym kaznodzieją (pastorem) przy miejscowym kościele.

W wyniku działalności doktora teologii, luteranina i byłego norbertanina z Trzebiatowa Jana Bugenhagena - idee reformacji szybko rozprzestrzeniły się w miastach pomorskich. Był on autorem projektu reformy pomorskiego kościoła, wydał ordynację kościelną, a później przeprowadził wizytacje, sprawdzając skuteczność głoszonych reform. Książęta pomorscy - Barnim IX i Filip I, na sejmie w Trzebiatowie w 1534 roku, pod wpływem działalności J. Bugenhagena wprowadzili oficjalnie reformację na Pomorzu, uznali protestantyzm za jedyną i obowiązkową religię.

Stworzono kościół państwowy o nazwie Pomorski Kościół Ewangelicki (Pommersche Evangelische Kirche). Nastąpiła sekularyzacja majątków kościelnych i klasztornych, a księża pojedynczo przechodzili na nową religię. Na Pomorzu zmieniła ona dotychczasowe oblicze kościołów. Wprowadzono liturgię protestancką, utworzono konsystorz i urząd superintendenta. Powstawały parafie protestanckie, gminy i zbory. W kościołach zaczęto odprawiać nabożeństwa w nowym obrządku, temu towarzyszyło wprowadzenie języka niemieckiego.

Nie zawsze proces ten odbywał się w sposób łagodny. W Słupsku istniejący wcześniej ruch proreformatorski, za przychylną radykalnych przedstawicieli, a szcze-

gólnie działalności Jana Amandusa, miał burzliwy charakter. Niszczono, rabowano kościoły i wypędzono dominikanów. Sytuacja ta miała przykre skutki dla katolików i rodzimych mieszkańców, którzy wywodzili się z ludności słowiańskiej. Oderwanie kościoła przyczyniło się do szybkiej germanizacji ludności miejscowej, pozostali katolicy stanowili małą diasporeę. Brak kościołów katolickich utrudniał wykonywanie praktyk religijnych.

Protestantyzm na Pomorzu wprowadził istotne zmiany do świątyni. W odróżnieniu od kościoła katolickiego, kościół protestancki posiada wiele ław usytuowanych, zarówno na po-

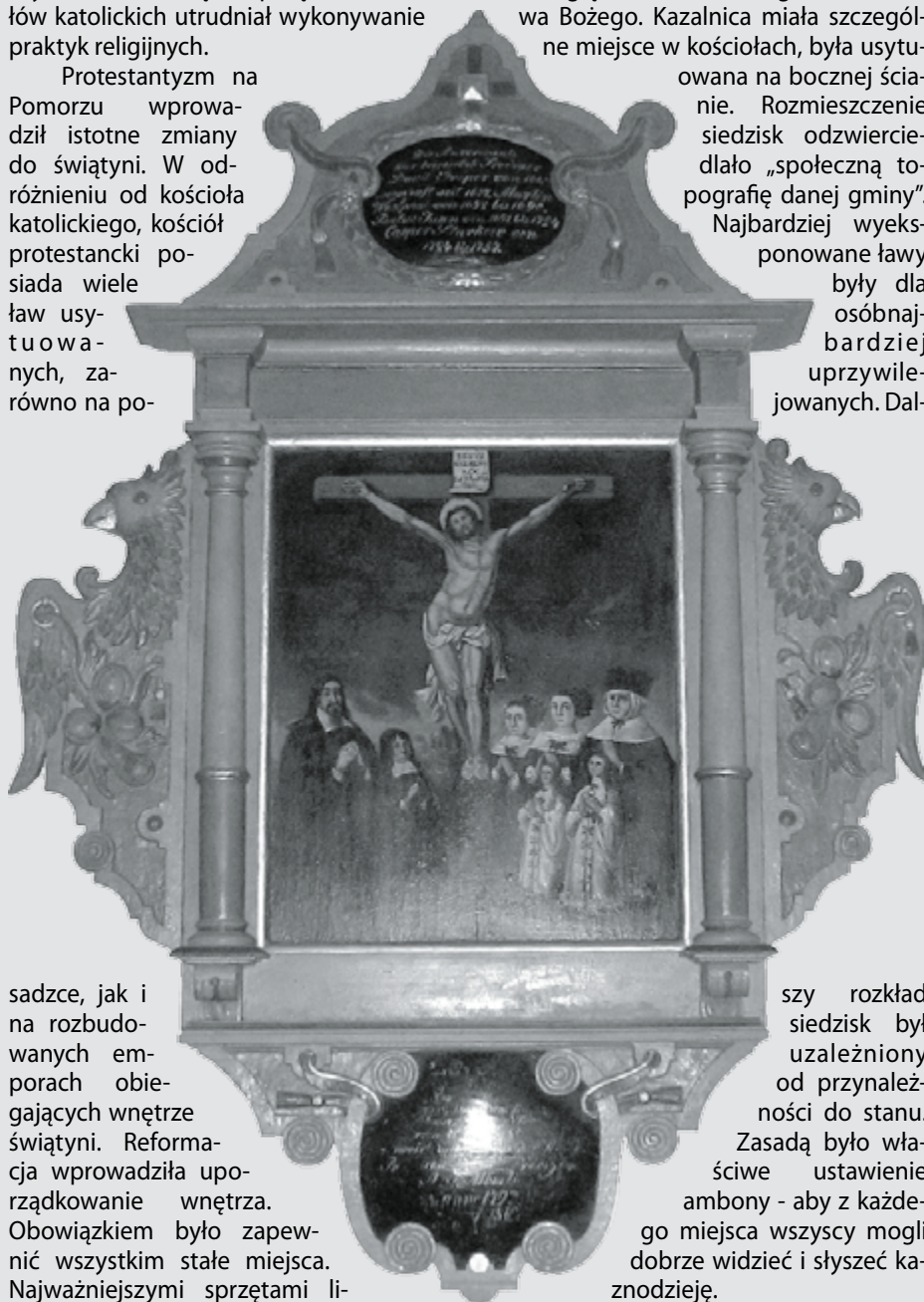
sadzce, jak i na rozbudowanych emporach obiegających wewnątrz świątyni. Reformacja wprowadziła uporządkowanie wnętrza. Obowiązkiem było zapewnić wszystkim stałe miejsca. Najważniejszymi sprzętami li-

turgicznymi stały się: ołtarz, chrzcielnica i ambona. Reformacja głosiła powrót do apostoelskiej tradycji Ostatniej Wieczery, dlatego w świątyni wydzielono dwie przestrzenie: Wieczernika i Kaznodziejską. W centrum Wieczernika znajdował się ołtarz, w przestrzeni kaznodziejskiej - ambona. Miała ona uprzywilejowaną pozycję ze względu na nacisk na głoszenie Słowa Bożego. Kazalnica miała szczególne miejsce w kościołach, była usytu-

owana na bocznej ścianie. Rozmieszczenie siedzisk odzwierciedlało „społeczną topografię danej gminy”.

Najbardziej wyeksponowane ławy były dla osób najbardziej uprzywilejowanych. Dal-

szy rozkład siedzisk był uzależniony od przynależności do stanu. Zasadą było właściwe ustawienie ambony - aby z każdego miejsca wszyscy mogli dobrze widzieć i słyszeć kaznodzieję.



Fot. W. Lipczyński

Pomorzu

W kościołach protestanckich duchownego nazywa się pastorem (łac. pastor-pasterz). Biblijne pochodzenie tego tytułu nawiązuje do zasady Sola scriptura - co znaczy, że tylko Pismo Święte jest jedynie istotne, stanowiące niepodważalną zasadę protestanckiego kościoła. Zgodnie z nią, powołując się na List do Efezjan Apostoła Pawła: „I On ustanowił jednych apostołami, drugich prorokami, innych ewangelistami, a innych pasterzami i nauczycielami”, przyjęto ten tytuł.

W kościele w Wytownie zwraca uwagę epitafium protestanckie upamiętniające byłych pastorów tej świątyni. Ma ono szczególny charakter i stanowi wartość zabytkową. Znajduje się na bocznej ścianie prezbiterium, przedstawia okazały monument, wzbudzający szczególne zainteresowanie. Jest wykonane przez nieznanego artystę, a zostało ufundowane przez ówczesnego pastora Westphala w 1680 roku. Centralnym jego punktem jest namalowany obraz „Ukrzyżowanego”. Poniżej znajduje się postać fundatora - pastora oraz jego rodzina: żona i pięcioro dzieci (cztery córki i syn). Osoba pastora jest w odświętnym stroju liturgicznym - w todze i charakterystycznych befkach, ma oblicze dystygowane, dominuje w nim powaga oraz autorytet sprawującej władzy. Na obrazie mamy również prezentowaną w uporządkowanej hierarchii rodzinę, co wskazuje na życie pełne i w harmonii z Bogiem. W dolnej części jest inskrypcja w języku niemieckim, w tłumaczeniu głosi ona: „Tutaj zostali pochowani miejscowi pastorowie: Dawid Groger, od roku 1600 zamieszkały do 1627, Martin Westphal od roku 1652 do 1690, Paulus Juan od 1691 do 1724, Caspar Starkow od 1724 do 1757”.

Epitafium inspiruje do głębszej refleksji nad działalnością pastora w protestanckiej parafii. Pastor w systemie ówczesnych stosunków społecznych nie tylko realizował zadania religijne, ale był reprezentantem lokalnej władzy, wykonawcą zadań ustalonych przez państwo. Zasada „Cuius regio, eius religio” (czyja władza, tego religia) oznaczała, że władca decydował o wyznaniu swoich poddanych.

W byłej świątyni poprotestanckiej w Wytownie obecnie znajduje się kościół rzymsko-katolicki pw. św. Franciszka z Asyżu. Miejscowy proboszcz, ks. Tadeusz Mazur nie tylko przybliżył nam historię parafii protestanckiej, ale z pietyzmem opiekuje się i ochroni pamiątki dawnej przeszłości.

Włodzimierz Lipczyński
Ślupsk



Fot. J. Maziejuk

Krzyże, kapliczki, Boże Męki stanowią o charakterze krajo-brazu kulturowego Polski i Pomorza, podobnie jak wielu innych zakątków chrześcijańskiej Europy

Krzyże i kapliczki przydrożne

Pan Adam Jabłoński artykułem „Krzyże polskie” („Powiat Słupski” Nr 11-12/2010) podjął cenny przyczynek do zebrania dokumentacji o historii i losach małych obiektów sakralnych naszego regionu. Jednak dwie tezy z artykułu wymagają głębszej analizy, tak przynajmniej sądzę wprostocie wiary wyniesionej z domu. Pierwszą autor zawarł w twierdzeniu „krzyż, który przede wszystkim jest symbolem Męki Pańskiej, stał się również symbolem polskości”. Druga teza została sformułowana w zdaniu „W Polsce każde miejsce na postawienie krzyża powinno być dobre”.

W „Zdaniach i uwagach” Mickiewicz pisał: „Krzyż wbity na Golgocie tego nie wybawi, Kto sam na sercu swoim krzyża nie wystawi.” Poeta upatrywał nieszczęść ojczyzny i własnej słabości w powierzchowności życia religijnego i, rozpaczliwie szukając głębi przeżycia religijnego, uległ sekciarskim poglądom Andrzeja Towiańskiego. Odwołanie do nieracjonalnego epizodu z biografii wieszca przywołuje kontekst społeczny, polityczny i religijny odległej epoki. Rozbiory, klęska powstania 1831 roku, milczenie Watykanu wobec sprawy polskiej, zdecydowało o kondycji psychicznej poety, który już wtedy umarł dla literatury.

Autor artykułu wplatając historię krzyży ze Starkowa w burzliwą społeczną dysku-

sję o miejscu „krzyża smoleńskiego”, zmusza czytelnika do refleksji nad przyczynami gwałtownych napięć społecznych i w konsekwencji podziałów i alienacji. Społeczna frustracja, upadek autorytetów, wreszcie nie dające się wyjaśnić w prostych racjonalnych kategoriach tragiczne smoleńskie zdarzenie wywołały religijno-patriotyczną egzaltację wymagającą rozładowania. Towarzyszy temu konieczność nadania sensu tragicznym zdarzeniom i poszukiwanie charyzmatycznego przywódcy jako gwaranta oczekiwanych zmian. Okazuje się, że społeczne i polityczne mity i urazy połowy XIX wieku, utrwalane kolejnymi bolesnymi doświadczeniami tkwią w naszej narodowej świadomości i raz po raz do nich sięgamy. Ponad trzydzieści lat temu pisałam pracę o Mickiewiczu w sekcje Towiańskiego. Kiedy dziś czytam fragmenty ówczesnych rozważań, wydają się wyjaśniać i to, co działo się Anno Domini 2010: „Grupy (sekciarskie) nawiązując do mesjanistycznego typu myślenia religijnego starały się w tych kategoriach rozwiązywać problemy społeczno-polityczne epoki. Rozciągnięcie świadomości religijno-mesjanistycznej i próby wyjaśnienia zjawisk społecznych i politycznych w jej kategoriach związane były ze stanem powszechnego napięcia emocjonalnego i załamaniem tradycyjnych

autorytetów." Wszystkie symptomy opisanego stanu, jak w soczewce, ujawniły się nad prezydenckim pałacem, nie wyłączając odrzucenia autorytetu instytucjonalnego kościoła i państwa.

Zupełnie odrębną kwestią jest nie tylko polska tradycja stawiania krzyży i kapliczek przydrożnych. Od wczesnego chrześcijaństwa w całej Europie pojawiały się kapliczki, figury, krzyże przydrożne o charakterze wotywnym, błagalnym lub pokutnym. Najwięcej zabytków wczesnego okresu zachowało się w Niemczech i Austrii. Niektóre, z trzynastowiecznym rodowodem, wykonane z granitu lub piaskowca dochowały się do naszych czasów. Nazywano je niekiedy kamiennymi świadkami średniowiecznego prawa, bo miały charakter krzyży pokutnych, wznoszonych własnoręcznie przez mordercę, na znak pokuty bądź przez rodzinę winowajcy jako zadośćuczynienie. Przy krzyżu następowało pojednanie winowajcy i rodziny ofiary. Zwyczaj ten trwał do XVII wieku. W Polsce opisano około sześciuset takich obiektów, z tego czterysta na Dolnym Śląsku. W Słupsku w Muzeum Pomorza Środkowego przy wejściu znajduje się jedyny, ocalały na Pomorzu średniowieczny kamień pokutny zabójcy.

Na przydrożnych krzyżach Górnego Śląska możemy spotkać wyryte bądź namalowane napisy polskie, niemieckie, łacińskie i morawskie wyrażające modlitwy czy przesłania fundatorów. Każdy z nich niesie konkretne przesłanie religijne lub historyczne. Świadczą materialną pamięcią o wspólnocie dziejów, są dokumentem przenikania się europejskich kultur narodowych wyrastających ze wspólnego chrześcijańskiego podłoża.

Na podobnej zasadzie nie tylko w Hiszpanii znana była karawaka, krzyż ściśle związany z tradycją katolicką, wywodzący się z hiszpańskiego, z miasta Caravaca, gdzie pojawił się na przełomie XIII i XIV wieku jako wotum chroniące przed za-



Fot. J. Maziejuk

razami. Karawaki trafiły do Włoch, a stamtąd z pielgrzymami do Polski. Pierwotnie na ich belkach umieszczano modlitwę św. Benedykta o ochronę przed szatanem i jego jadem. Ponieważ modlitwa nie mieściła się na jednej belce, dlatego dodano drugą. Stąd charakterystyczny dwubelkowy kształt krzyża. W Polsce były bardzo popu-

larne, teraz jest ich niewiele. Kiedyś chroniły przed epidemiami, wyznaczały obszar, poza który nie wolno było wyjść mieszkańcom terenu objętego zarazą. Dziś dokumentują dawne tradycje i wątki europejskiej kultury sakralnej. Dr Marek Kołyśko z uniwersytetu toruńskiego odkrywa i opisuje karawaki Pomorza i Kujaw. Piękna karawaka znajduje się między innymi przy kościele w Jastrzębiu w powiecie brodnickim. Na Polesiu wiejski drewniany krzyż zawsze był obwieszony jaskrawymi różnobarwnymi starannie uszytymi, często haftowanymi małymi fartuszkami, które kobiety zawieszały, aby odpędzić złe nocne mary, zwiastunki niepowodzeń lub by wyjednać błogosławieństwo.

Również na poleskich mogiłkach niewieścich na krzyżu wieszano fartuszek, mężczyźni natomiast haftowany ręcznik. Miejsca pograniczne dają świadectwa przenikania się kultur także w sferze sakralnej. Polesie było chyba jedynym regionem kresowej Polski, gdzie, wobec braku innych odmienności, wyznaczenie uznano za wyraźny znak przynależności narodowej.

W Zabrezniu, kresowej wsi w parafii Pohost, w 1946 roku wyjeżdżający Polacy trzy razy stawiali krzyż na rozstaju, by wymodlić błogosławieństwo na drogę i za każdym razem znajdowali rankiem krzyż ścięty przez funkcjonariuszy nowej władzy. „Kab ich chwaraoba!” - złościła się Julia Matulisowa. Jak tu ruszyć w drogę bez błogosławieństwa? Jak opowiada mi uczestniczka tamtych zdarzeń cała wieś stanęła do pracy. Przez jedną noc jedni międlili len, ktoś przadł nić cieniutką, inny tkął na krosnach ręcznik ofiarny. Zawiesili go nad ranem na krzyżu. Z daleka widać haftowany napis: „Maryjo, módl się za nami”. Katolicy

Krzywiciel polskości owia

Czesław B. Kowalczyk obraża rodaków, dając wyraz bezmyślnej, prostackiej degrengolady umysłowej i braku podstawowych zasad moralnych

Świąteczny nastrój z jakim zabrałem się do wertowania ostatniego w ubiegłym roku numeru Powiatu Słupskiego prysł po przeczytaniu artykułu zatytułowanego „Europa po europejsku, czyli wybrane z życia” autorstwa pana Czesława B. Kowalczyka.

Tytuł zaiste intrygujący, szczególnie dla czytelnika interesującego się problemami Europy, w kalejdoskopie których znajduje się Polska. Pomijam już dywagacje na temat znaczenia etymologii nazwy Europa z położeniem geograficznym Polski(!) i ich odkrywczność. Nie w tym bowiem leży przyczyna pogorszenia się świątecznego błogostanu. Zawsze interesowały mnie poglądy na życie widziane oczami nieznanymi mi ludzi. Spodziewałem się więc ciekawych informacji napisanych przez Polaka z Irlandii o losach emigrantów zarabiających za granicą. Otrzymałem - stwierdzam

to z pełną świadomością - powielany przez media obraz stęskającego, narzekającego na wszystko, co polskie rodaka, któremu pomieszały się problemy życia gospodarczego z politycznymi wynaturzeniami, jakich pełno również w wielu krajach wykpiwanej przez autora Europy. Posługując się skrajnymi przykładami polskich problemów i kłopotów nawołuje i prosi, aby „dać wiarę” uwidaczniającej się dewaluacji słowa Europa. Jednocześnie w sposób wysublimowany przedstawia zdobycze kultury irlandzkiej, dobre maniery i wspaniałe osiągnięcia, na tle których przedstawił Polaków jako naród tępych nieuków i bezmyślnych, zapijanych degeneratów. Ze zdumieniem dowiedziałem się o wysiłkach, jakie wyczyniał pan Kowalczyk, by - jak pisze - szerzyć polskość w tym „rudawym społeczeństwie”. Nie pomógł mu nawet (cyt.)

i prawosławni przez wieki modlili się przy jednym krzyżu, bo kościół był daleko, cerkiew jeszcze dalej.

Wiek XIX dostarcza zarówno zabytków, jak i świadectw literackich obecności w polskim krajobrazie pomników kultury sakralnej prostego ludu. Eliza Orzeszkowa w „Tadeuszu” tak opisywała wiejską kapliczkę: „Stali u stóp kapliczki złożonej z wysokiego podmurowania i wznoszącej się na podmurowaniu drewnianej niszy. U brzegu niszy wśród bukietów ze sztucznych i świeżych kwiatków stał posąg Najświętszej Panny z drzewa niezgrabnie wyrzeźbiony, z jaskrawo pomalowaną twarzą, bardzo stary. Nad głową posągu połykiwała korona z posrebrzanej blachy, a od szyi aż do stóp spływał mu płaszcz z czerwonego aksamitu, pozłocistą taśmą dokoła oszyty. Kapliczka ta była wysoką i w ten sposób zbudowaną, że ku drodze zwracała się profilem, a otworem niszy ku dworowi, nad którym z wysokości swej panowała na każdym niemal punkcie jego widzialną będąc”.

Na Podlasiu drewniane krzyże są charakterystyczne dla wsi zamieszkałych przez ludność prawosławną, w katolickich wsiach przeważają kapliczki. We wsiach zamieszkałych wspólnie przez oba wyznania stoją obok siebie krzyż prawosławny i katolicki, a często są to całe grupy krzyży i kapliczek. Wyjątkowym miejscem jest położona niedaleko Białegostoku w kierunku Siemiatycz Grabarka, pokryta lasem prawosławnych krzyży wotywnych.

„Wieś zaczyna się od krzyża. Trzeba się przeżegnać. W imię Ojca i Syna i Ducha świętego, amen. Jak w kościele, tylko codziennie. Kościół jest niedzielny, świąteczny, to i żegnanie się kościelne, nie takie

zwyczajne. A wieś swoja, powszednia. To tak jakieś bardziej swojskie to żegnanie się pod krzyżem wioskowym, to tak jakoś zwyczajniejsze potem, po żegnaniu się, trochę podejść i nasz dom. To prawie tak wygląda, jakby żegnało się przed naszym domem” - pisze Jan Zalewski poeta i nauczyciel z Hajnowki.

Krzyż stanowił granicę między światem znanym, wioskowym, w którym „był tak jak drzewa i obłoki na niebie”, pisał Tadeusz Seweryn, autor wielu opracowań o ludowej kulturze sakralnej. Dalej był świat obcy, nieznan, w który się szło z błogosławieństwem krzyża lub z którego się wracało. Marcina Borowicza wracającego z matką



Fot. J. Maziejuk

ze szkolnego wygnania wita kapliczka:

„Przede wsią w pustce, na wzgórzu stała drewniana kapliczka, spróchniała już zupełnie od przyciesi aż do żelaznego kolutka na szczycie dachu. Dokoła tej staruszki rosły bujne bzy z ogromnymi kiściami pachnących kwiatów. (S. Żeromski: „Szyfrowe prace”).

Krzyże, kapliczki, Boże Męki stanowią o charakterze krajobrazu kulturowego Polski i Pomorza, podobnie jak wielu innych zakątków chrześcijańskiej Europy. Świadczą przede wszystkim o naszej tożsamości religijnej i kulturowej, wciąż żyją w codziennych sprawach całych społeczności. Boże Męki, jak nazywa się potocznie na Kaszubach kapliczki i krzyże, są świadectwem ciągłości dziejów, niekiedy trudnych i bolesnych, wpisywanych znakiem krzyża we współczesność niemniej zagmatwaną. „Nieprzypadkowe było miejsce stawiania kapliczek. Dla nas to po prostu: „przy drodze” albo „na rozstajach”. Tymczasem krzyże stawiano na początku i na końcu zabudowań wsi - wyznaczały one jej granice. Te, które stały przy rozstaju dróg, miały żegnać odchodzących. Inne wskazywały na centrum wsi, a jeszcze inne oznaczały miejsce znalezienia ludzkich szczątków” - pisze Natalia Budzyńska w „Modlitwach ludu polskiego”. Lokalizacja, prosta ludowa forma i intencje fundatorów wynikały z serdecznej religijności, przywiązania do społecznej wspólnoty i tradycji. Wszystkie krzyże przydrożne i kapliczki były formą memento, wyrazem jedności ludzkich spraw wobec woli Bożej. Zawsze stawiano je z życzliwą myślą o współczesnych i potomnych, nigdy przeciw.

**Czesława Długoszek
Objazda**

ny atlantyckim wiatrem

„atlantycki wiatr, nie oczyścił i nie natchnął odpowiednią umiejętnością i nie wypełnił głowy wiedzą”. Nie łatwo krzewić obcą kulturę w nieznanym kraju, do którego pojechało się w zupełnie innym celu. Wysitek na jaki zdobył się pan Czesław B. Kowalczyk, pisząc omawiany artykuł dyskwalifikuje go jako mającego coś do powiedzenia w temacie absorbującym Polaków zmagających się z trudnościami codziennego życia na obczyźnie. Cytując idiotyczne wypowiedzi swoich kolegów (cyt.) „Polska jawi się jako kraj żywcem przeniesiony z afrykańskiej prowincji rządzonej przez głupawą starszyzną plemienną.”

Pan Czesław B. Kowalczyk obraża rodaków, dając wyraz bezmyślnej, prostackiej degrengolady umysłowej i braku podstawowych zasad moralnych. Megalomańskie zacietrzewienie, infantylnie podejście do

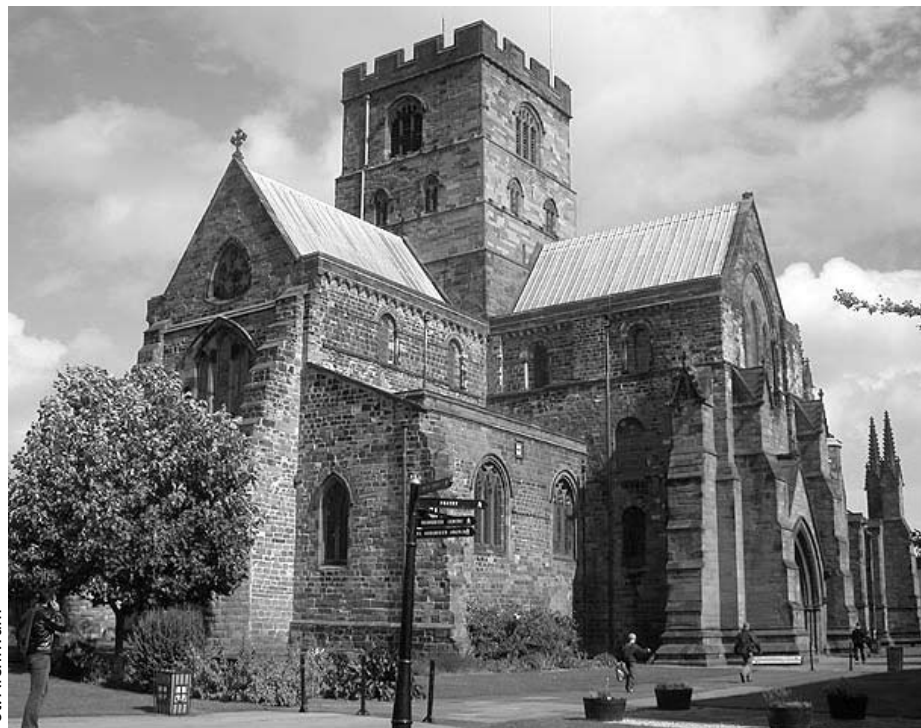
rzeczywistości oczerniają kraj, w którym żyjemy. Nie mogę, niestety, inaczej traktować omawianego artykułu. Zamieszczony w piśmie przeznaczonym między innymi dla czytelników o określonych osiągnięciach, twórców kultury regionalnej, dumnych ze swego kraju i dziedzictwa narodowego artykuł, potwierdził, jak wielkie dzieli nas różnice w przeżywaniu emocji wynikających z trudów codzienności. Jeśli pana Czesława Kowalczyka zachwycają irlandzkie odruchy i gesty, uśmiechy, ukłony i pozdrowienia, jeśli powołuje się na irlandzką kindersztubę - radzę zmienić środowisko, które najwidoczniej pozbawiło go możliwości przebywania w polskim, kulturalnym otoczeniu. W takiej sytuacji lepiej spakować manatki i zadekować się na stałe w Irlandii, gdzie - jak pisze - bezinteresownie wciskać mu będą czteropaki. Będzie mógł spokojnie

budować „rudym” wspaniale osiedla oraz utwierdzać mit o irlandzkim cudzie, który, mówiąc kolokwialnie, zaczyna przeobrażać się w gospodarczą katastrofę. Ktoś powiedział panu Kowalczykowi (cyt.) „kryzys to my mamy od 1945 roku”. Zastanawiam się, ile lat liczył sobie wtedy autor artykułu. Jeśli Czesław Kowalczyk pamięta coś z tamtych lat, to pamięć ma krótką. Jeśli nie pamięta, to radzę nie zabierać głosu w sprawach, o których nie ma się nic do powiedzenia. Zbyt łatwo szasta bowiem słowami obrażającymi ludzi mających odmienne przekonania, na których fundamentach budują swoją przyszłość, wychowują dzieci i, co ważne, doksztalcają się. I jeszcze prośba: warto dowiedzieć się czym różnią się - krytyka od krytykanctwa, a polityka od politykierstwa.

Andrzej Szczepanik, Bytów

„Kresy” Anglii

Bliźniacze miasto Słupska było przez dość długi czas miastem granicznym. Jest jednak starsze od swego polskiego partnera, i to o spory kawał czasu



Fot. Archiwum

Patrząc na mapę Wielkiej Brytanii, trudno sobie dziś wyobrazić, że kiedyś były tu lądowe - dodajmy, mało spokojne - granice. Obecnie w Zjednoczonym Królestwie pozostała już tylko jedna taka granica, to jest ta, która oddziela brytyjską Irlandię Północną od Eire, czyli reszty Irlandii. Tymczasem Carlisle w północno-zachodniej Anglii - od kwietnia 1987 roku „bliźniacze” miasto Słupska - było przez dość długi czas miastem granicznym. Jest jednak starsze od swego polskiego partnera, i to o spory kawał czasu.

W drugim wieku naszej ery Rzymianie, którzy ongiś władali w najlepsze Brytanią, wybudowali w rejonie starożytnego Luguwallium umocnienia, ciągnące się prawdopodobnie wszczep całej wyspy. Ich zadaniem była ochrona północnych rubieży tamtejszych posiadłości rzymskich przed zakusami barbarzyńców z terenów dzisiejszej Szkocji.

Pozostałości po Rzymianach, w tym i fragmenty wspomnianego Muru, można znaleźć w Carlisle i w okolicy jeszcze dziś. Nic w tym dziwnego - wszak rzym-

skie Luguwallium prosperowało znakomicie przez pół tysiąca lat! W tak zwanych „mrocznych” czasach, kiedy Brytania doznała jedynej jak dotąd udanej inwazji z kontynentu, miejsce rzymskiego obozu zajęła warownia celtycka, zwana „Caer”, od której pochodzi obecna nazwa miasta. Kiedy po udanej inwazji na Brytanię Wilhelm Zdobywca nakazał spisać wszystkie angielskie dobra ziemskie w sławnej Domesday Book - nie znalazły się w niej ani Carlisle, ani Cumbria. Miasto i region były wtedy szkockie, o czym możemy poczytać choćby u samego Williama Szekspira: książkę Cumberlandu występuje w „Makbecie”, jako następca szkockiego tronu.

W końcu XI wieku pretensje do Carlisle jako miasta angielskiego zgłosił król William II Rufus. On też polecił je ufortyfikować. W efekcie, używając m.in. kamieni z dawnego obozu rzymskiego, wzniesiono nieopodal spory zamek.

Odtąd zaczęły się burzliwe lata. Miasto i region przechodziły razem z ręką do rąk, niszczone co jakiś czas przez pożary i nawiedzane przez różne kłęski. W jednym

z pożarów Carlisle spłonęły m.in. oryginały dwóch pierwszych z szeregu przywilejów, jakie miasto otrzymało w ciągu swoich dziejów od różnych królów. Właśnie od daty nadania pierwszego przywileju królewskiego zaczyna się dla mieszkańców dzisiejszego Carlisle nowożytna historia ich miasta.

Dodajmy - historia nad wyraz niespokojna, choć i pełna sławnych osobistości. Oto jedną z najbardziej znamienitych lokatorek miejscowego Zamku była w 1568 roku nieszczęsna Królowa Szkotów, Maria Stuart, którą podejmowano tam z najwyższymi honorami, organizując dla niej podobno specjalne mecze futbolowe! Jej Wysokość była jednak więźniem stanu, a jej losy miały się rozstrzygnąć zupełnie gdzie indziej...

Na rynku w dzisiejszym Carlisle stoi sobie kamienny obelisk dość sporej wysokości; także kamienny lew-strażnik na jego szczycie dzierży dumnie w swoich łapach Dormont Book, sławny wolumin, w którym w połowie szesnastego wieku skrupulatnie spisano wszelkie prawa i przywileje miasta.

Wspomniany Zamek, rozbudowany przez Henryka VIII i „Żelazną Dziewicę”, był „przystanią” i dla zwykłych rzezimieszków. Razu pewnego przyłapano, na przykład, sławnego w okolicy złodzieja bydlą. Osadzono go przykładowo w twierdzy, lecz delikwent bynajmniej nie zabawił tam długo: wkrótce ulotnił się bez śladu...

Podczas wojny domowej Carlisle było twierdzą Royalistów. Przez blisko dziewięć miesięcy oblegały miasto wojska Parlamentu; pod koniec tego oblężenia sytuacja mieszkańców była bardzo ciężka; po zużyciu wszelkich zapasów, odcięci od świata ludzie zaczęli żywić się, czym popadło, w tym i szczurami.

W blisko wiek po tych wydarzeniach, w połowie osiemnastego stulecia, Carlisle po raz ostatni zmieniło swą przynależność, gdy broniły się w nim oddziały ostatniego poważnego pretendenta z rodu Stuartów do angielskiego tronu - Bonnie Prince Charlie’ego. Wtedy też po raz ostatni „na poważnie” użyto sławnego działa, stojącego dziś przed Cytadelą. Ta ostatnia zaś, zbudowana jeszcze za Rubasznego Króla Hala, kiedy modernizowano umocnienia, broniła południowej bramy miasta; dziś - zmodernizowana i adaptowana do nowej roli - jest siedzibą miejskiego sądu.

Obok zamku i cytadeli najznamienitszym zabytkiem Carlisle jest Katedra, którą zbudowano na kształt obronnego zamczyska, i która ma w swoich dziejach najprawdziwsze epizody wojenne: jej budulca używano w potrzebie do reperacji miejskich umocnień, co widać do dziś po cokolwiek „wystrzępionych” murach. Probostwo w Carlisle założone zostało już w roku 1122, za panowania Henryka I. Dziesięć lat później, w związku z utworzeniem przez tegoż Hen-

ryka I diecezji w Carlisle, miejscowy kościół parafialny, zbudowany w miejscu innych budowli, podniesiony został do godności katedry. W siedemnastym, niespokojnym wieku piękna świątynia z czerwonego piaskowca została poważnie zdewastowana w toku kolejnych utarczek i wojen. W 1797 roku w katedrze wziął ślub sam Walter Scott. W latach 1853-57 przeprowadzono wielką odbudowę i renowację wiekowej budowli, słynącej m.in. z pięknego, zdobnego witrażami okna wschodniego.

Carlisle jest podobno miastem raczej lotników RAF-u (Królewskie Siły Powietrzne) niż marynarzy RN (Królewska Marynarka Wojenna), ale nazwa „Carlisle” pojawiła się jak dotąd na burtach okrętów Ich Królewskich Mości trzykrotnie. Dwie pierwsze jednostki szczęścia nie zaznały - jedna rozbiła się w trzecim, druga wyleciała w powietrze wskutek wypadku ledwie w drugim roku służby. Dopiero trzeci HMS Carlisle, nowoczesny lekki krążownik typu C, wodowany w 1918 roku, zapisał się w annałach RN dłuższą służbą. Okręt i jego załoga dzielnie stawali podczas II wojny światowej. Krążownik uczestniczył m.in. w bitwie w Zatoce Wielka Syrta, w której sławny kontradm. Ph. Vian umiejętnie bronił powierzchni sobie konwoju statków handlowych przed zakusami Włochów. Służba HMS Carlisle dobiegła praktycznie końca w 1943 roku, gdy okręt został poważnie uszkodzony wrogimi bombami lotniczymi w jednej z akcji na Morzu Śródziemnym. Potem krążownik pozostawał już do końca działań w Aleksandrii i wkrótce po wojnie trafił do rozbiórki na złom.

Swoją historię w barwach RN ma też - a jakże! - Cumbria. Oto HMS Cumberland, jeden z trzynastu ciężkich krążowników wspaniałego typu „County”, dzielnie uczestniczył m.in. w łowach na Admirala Grafa Spee w pierwszych miesiącach ostatniej wojny i można nawet powiedzieć, że to on przypieczętował los „rajdera”.

Kolejnym okrętem, jaki otrzymał zaszczytną nazwę „Cumberland”, została w czerwcu 1989 roku fregata typu 22 - pierwszych okrętów brytyjskich, budowanych w systemie metrycznym, które miały w dodatku otrzymać uzbrojenie wyłącznie rakietowe. Tuż po rozpoczęciu służby delegacja załogi, w tym i dowódca HMS Cumberland, pojawiła się w dziecięcym szpitalu w Carlisle (stolicy Cumbrii!), sprawiając małym pacjentom ogromną frajdę wielkim tortem owocowym, ozdobionym herbem i mottem okrętu. To ostatnie brzmi - Justice and Tenacity.

Piękne i rozległe miasto w centrum Lake District - takiego angielskiego pejzażu - zostało przed ponad dwudziestu laty partnerem Słupska, miasta zbliżonego do siebie wielkością, położeniem, charakterem, a po trosze i dziejami.

Wojciech M. Wachniewski
Słupsk

*Bulwar funkcjonuje
doprawdy świetnie,
w każdym razie
z miesiąca na miesiąc
lepiej. I - fakt,
w który trudno
uwierzyć - tętni oży-
wionym (z podziwu
godnymi skutkami)
życiem artystycznym*

W kafejce

dającym w oko” murem z niemniej stylowo urządzonym tzw. ogrodem piwnym.

Wnętrze kawiarni - to w stu procentach odczucie autora niniejszych zapisków - bez krzty przesady komfortowe, żeby nie powiedzieć ekskluzywne czy szarmantkie. Gości, jak chyba w ogóle w gastronomii, najogólniej mówiąc „średnio dużo” po latach bardziej „tłustych”. Młodzutki (30 l.) Sebastian Chiniewicz (notabene: wnuk - pupil Stanisława Staniuka, założyciela i prezesa aż do śmierci w roku 2003 słynnej przez z górą czterdzieści lat firmy PPH Urządzeń Kotłowych i Konstrukcji Stalowych) przechodzi nad tym z dziadkowym samozaparciem i optymizmem. Cyt. „Wszystko wymaga czasu. „Kafejkowcy” z reguły dość długo „wierzą grunt”. Zwłaszcza gdy stykają się co rusz (tak, tak) z wernisażami wystaw, minispektaklami teatralnymi, kameralnymi koncertami bądź recitalami wokalnemu-muzycznymi, a nawet - w dalszej perspektywie - spotkaniami autorskimi miejscowych pisarzy i poetów. Żaden dla mnie „biznes”. Podjąłem się jednak tego w swojej fascynacji duchem pro arte. Gdzie zmiany przydają siłę, nie na odwrót...”



Fot. Zb. Wiśniewski

Równo rok temu, co anonsowaliśmy Czytelnikom trochę później, otworzyła swe podwoje w Słupsku pierwsza kawiarnia artystyczna w naszym regionie pn. Bulwar 29.

- Nazwa w takiej akurat formie - tłumaczył wtedy organizator i szef lokalu Sebastian Chiniewicz - jest z mojej strony przywołaniem paryskich bulwarów nad Sekwaną, ulubionych od zawsze miejsc spotkań fanów kultury i sztuki francuskiej, europejskiej, światowej. Suplement „29” oznacza po prostu... numer posesji przy ulicy Szczecińskiej, vis -à-vis hali Gryfia. Kwartał przed sezonem - dorzucić, sądzę, warto - zmyślnie i elegancko zasłoniętej i wyciszonej (w bezpośrednim sąsiedztwie chodnik, ruchliwa jezdnia) całkiem pokaźnym, „wpa-

On - wtrąć - technik handlowy i specjalista ds. marketingu z dyplomem bardzo popularnej u nas Wyższej Hanzeatyckiej Szkoły Zarządzania. Daleko - gołym okiem widać - od wspomnianych autopreferencji wobec kultury i sztuki. Z pierwszymi doświadczeniami na niwie fachowej - wprost niewiarygodne - w kafejce Bulwar 29. Z zespołem młodych jak on sam kelnerów i barmanów.

Powiem dziś szczerze: Przy całym uznaniu dla inicjatywy wróżyłem jej los innych tego typu przedsięwzięć. Tymczasem... Bulwar funkcjonuje doprawdy świetnie, w każdym razie z miesiąca na miesiąc lepiej. I - fakt, w który trudno uwierzyć - tętni ożywionym (z podziwu godnymi skutkami) życiem artystycznym.

jedynie literaci nie „zadomowili się” dotychczas w kafejce pana sebastiana

Garść przykładów zaczerpniętych z kroniki B 29. Notuję ad hoc:

Ze sztuk scenicznych, ściślej estradowych - „Małe zbrodnie małżeńskie”, „Audycja”, „Mąż mojej żony” (odtwórcy pierwszych: popularni aktorzy Katarzyna Michalska i Marek Wiercichowski), kamery i recitale w wykonaniu członków zespołu Sinfonia Baltica Bohdana Jarmołowicza, jak również artystów spoza Słupska, pokazy malarstwa i grafiki tutejszych sztalugowców -weteranów Klubu im. Stefana Morawskiego. Et cetera.

Jedynie literaci nie „zadomowili się” dotychczas w kafejce p. Sebastiana. - Na razie - konstatuje z właściwym sobie optymizmem i błyskiem w oczach szef lokalu.

Skoro napomknąłem już o ekspozycjach plastycznych. Zainauguowała i zwieńczyła ww. cykl imprez wystawa ostatnich prac malarskich słupszczanina Gerarda Tredera. Twórcy nie musimy, wydaje się, przedstawiać bliżej Czytelnikom. Znają go choćby ci, którzy zetknęli się z tekstami pt. „Malarz - ogniomistrz” w numerach 1-2 pisma z 2009 oraz „Pierwsza kawiarnia artystyczna w nr 5-6 z 2010 roku. Dla przypomnienia - parę cytatów z poczynionych tam przeze mnie notatek. „Jest maestro swoistym ewenementem twórczym w Słupsku, ba! hen - poza opłotkami grodu nad Słupią. Od z góry trzech dziesięciole-

ci zadziwia bowiem mieszkańców miasta i regionu niezwykłą wręcz operatywnością i sprawnością warsztatową. Wątpię ponadto, aby znalazł się na ziemi słupskiej, mało: na Pomorzu Środkowym, drugi nieprofesjonalny sztalugowiec z 2197 (teraz 2364!) obrazami olejnymi i 55 (dzisiaj 59) ciepło, często bardzo ciepło przyjmowanymi pokazami indywidualnymi i zbiorowymi w kraju jak też za granicą (Niemcy, Dania, Belgia, Holandia, Luksemburg, USA, Kanada i Nowa Zelandia)... Hołubi zwłaszcza przetworzone (najczęściej trochę odrealnione) krajobrazy, pejzaże oraz bukiety - kombinacje, martwe natury, słowem: bliską mu od dziecięcych lat przyrodę. W odróżnieniu na przykład od impresjonistów nie pa-



Transfo

Jakoś tak nie potrafimy działać wspólnie w tej naszej wolnej Polsce. Większość z nas jest zmęczona sporami odbywającymi się na arenie politycznej. Chcemy żyć w stabilnym, mocnym kraju. Poukładaliśmy się zewnątrznie w Unii Europejskiej, wypracowaliśmy twarde kompetencje, i co dalej? Myślenie o przyszłości nie jest jednak naszą mocną stroną. Po dwudziestoletnim okresie głębokich zmian mamy trudności ze zrozumieniem samych siebie, jako narodu. Nie czując siebie, nie rozwiniemy skrzydeł, nie będziemy umieli podążać w rytm wspólnych dążeń. Gdzie się podziła tożsamość zbiorowa Polaków? Znudziło mi się oglądanie skrzywionych twarzy polityków, którzy myśląc jedynie preferencjami własnych partii, zagubili wspólnotowość. To co się w tej chwili dzieje, przeraża mnie. Wielu z nas marzy o innym typie przewodzenia, mamy już dość przepychanek politycznych, układów, układzików i bezmiennej gwałtownej dyskusji na forach. Potrzebujemy decyzywności, dialogu społecznego, wypracowania własnej przestrzeni społecznej, takiej która będzie odpowiadała nam wszystkim, która będzie bezpieczna dla nas wszystkich. Dzięki Bogu istnieją więzi lokalne, w naszych dzielnicach, gminach, miastach. O te więzi należy szczególnie dbać, pielęgnować je, „podlewać”, troszczyć się o nie bez przerwy, wówczas będzie nam łatwiej rozwiązywać problemy.

Mamy tę demokrację, czy nie?

Od kilku lat biorę udział w otwartych dyskusjach obywatelskich organizowanych przez Jana Szomburga - prezesa Instytutu Badań nad Gospodarką Rynkową. Ostatni Kongres, już piąty, odbył się 23 października 2010 r. w gmachu Politechniki Warszawskiej. Dobrze jest spotkać się z grupą ludzi z

Na wyboistej drodze do rozwoju musimy stale pamiętać, że to właśnie kultura jest bazą do budowy i cementowania lokalnej tożsamości, doskonałym narzędziem do przekazywania wartości oraz czynnikiem przyspieszającym rozwój ekonomiczny

„cuius regio, eius religio”

sjonuje się wszakże uchwyceniem chwili, lecz zaciekawieniem odbiorcy, wciąganiem go w głąb sztuki. Jeszcze jedno warcie podkreślenia: Identyczną satysfakcję odczuwa Treder przy kreowaniu pomienionych martwych natur i, dajmy na to, aktów lub półaktów. Taka dewiza: wychodzić naprzeciw odbiorcom swych kompozycji wszelkimi sposobami, stale i wszędzie - przyświecała, myślę, jego idolom: surrealiście z pogranicza iluzjonizmu Savadorowi Dali oraz petersburskiemu realicie Iwanowi Szyszkiniowi... Każde z oglądanych płócien p. Gerarda pachniało i pachnie mi nonstop świeżą farbą, nosiło i wciąż nosi znamiona coraz to innej konwencji programowej. Sporo wśród nich transpozycji naturyzmu, weryzmu. Ale

łatwo też doszukać się w zestawie, o którym mowa, kubistycznych vel kubizujących realizacji, postkubistycznych kolaży, ucieczek w świat nadrealizmu, abstrakcjonizmu; nie dosyć: zamysłów tworzenia całkowicie nowej faktury malarsko-rzeźbiarskiej i... zwykłych, niekiedy po prostu szkolarskich (sic) zarysów otaczającej artystę rzeczywistości. Ot, co!.."

Właściwie wszystko, czym można by zrekapitulować i tę ostatnią w kafejce pro arte Sebastiana Chiniewicza wystawę „malarza-ogniomistrza” (nb. tytuł związany z długoletnią służbą Tredera w Państwowej Straży Pożarnej). Wystawę w sumie ok. 60 płócien różnych wielkością, lecz - moim zdaniem - wcale bądź prawie wcale nie od-

biegających tematycznie od zrecenzowanych wyżej. Dlatego zapewne kupowanych przez widzów na przysłówiowym pniu. I w trakcie ekspozycji, i - przede wszystkim - podczas prowadzonych rok w rok „warsztatów marszanda” w Ustce, gdzie gotowe, a w szczególności malowane „na gorąco” obrazy znajdują dziesiątki, setki nabywców.

Tam zjednął sobie nasz mistrz latem ubiegłego roku menedżera z Warszawy, dzięki któremu jego twórczość zaczęła docierać aż na skraj Azji i do Antypodów. Dziennikarzowi i Czytelnikom pozostaje tylko „trzymanie kciuków”. Robimy to z niekłamaną spontanicznością i przyjemnością.

Jerzy R. Lissowski, Słupsk

Transformacja 1989 i co dalej?

całego kraju, ludzi różnych zawodów, tych „pozytywnie nakręconych”. Tym razem różnica między debatą prowadzoną podczas Kongresu a głównym nurtem medialnej debaty publicznej była ogromna. Rozdział między dyskursem obywatelskim a politycznym najsilniej wyraziła Aleksandra Ratajczak (doktorantka na Wydziale Polonistyki UW), reprezentująca głos młodego pokolenia. W swoim emocjonalnym wystąpieniu szeroko rozwodziła się na temat odnowy języka/języków, jakimi posługują się politycy w Polsce. Stwierdziła jednoznacznie, że przyszło nam żyć w czasach walki o władzę. Moim zdaniem to nic nowego, przecież siłom politycznym przede wszystkim chodzi o zdobycie władzy i utrzymanie jej. Poszczególne partie polityczne prześcigają się ze swoimi programami wyborczymi, aby móc zdobyć tę większość. Gdzieś się zawieruszyła etyka polityczna. O co tak naprawdę chodzi? Kilkakrotnie w swojej wypowiedzi A. Ratajczak powtarzała, że PO przemawia do obywateli językiem technicyzowanej modernizacji, PIS przekonuje o swoich racjach językiem konserwatywnej stagnacji, skrzętnie pielęgnując fobie i urazy, zaś język Palikota chce być językiem odnowy, w którym młode pokolenie nie pokłada żadnej nadziei. Dominik Taras, organizator happeningów pod krzyżem w Warszawie, nawołuje językiem postulatów i żądań. Czy te języki potrafią opowiedzieć nam o Polsce? Niestety nie. W polityce potrzebujemy nowych narracji, głosu niezależnych organizacji pozarządowych, portali społecznościowych, etc. Potrzebujemy zmiany warty i zmiany języka. Bo jeśli nie teraz, to kiedy? - tym pytaniem zakończyła swoje wystąpienie A. Ratajczak.

Jak zawsze, tematem przewodnim Kongresu była Polska i jej podmiotowość. Pragnę podkreślić, iż Kongres był i jest zawsze otwarty. Każdy obywatel, któremu

nie jest obojętna przyszłość Polski, może wziąć udział w bezpośrednim dyskursie. W dniu Kongresu został uruchomiony portal: www.ideosfera.pl. Zachęcam do dyskusji na forum. Jestem zdania, że nie należy mąskować swoich poglądów, ukrywając się pod płaszczykiem ostrożności i dziwnymi pseudonimami. Wystarczy jedynie poświęcić swój wolny czas. Dzięki demokracji mamy prawo do własnych myśli, interpretacji, wypowiedzi, dyskusji. Każdy obywatel może mieć wpływ na zbudowanie prawdziwej demokracji. Nareszcie! Owszem, jesteśmy wówczas narażeni na krytykę, ale owa krytyka bywa przydatna, jeżeli jest konstruktywna. Wszak nie jesteśmy nieomylni. Jesteśmy z pokolenia przełomu, które doskonale pamięta zakazy, nakazy, cenzurę i ten sławetny rok 1989, po którym rozpoczęła się „parada zmian” w poszukiwaniu i utrwalaniu wolności. Transformacja ustrojowa oraz tworzenie się samorządów terytorialnych spowodowało wiele zmian. Nie każdy region był przygotowany do tej nieznanej rzeczywistości. Moja myśl przywołuje film Wojciecha Marczewskiego z 1990 r. Ucieczka z kina „Wolność”, gdzie cenzor (znakomita kreacja Janusza Gajosa), niegdyś krytyk filmowy, poszukuje wolności. Jak lunatyk stąpa po nierównym dachu, gdzie spotyka tłumy uciekinierów, tak jak on, poszukujących autentyczności, którego tak naprawdę nie ma. W filmie zaciera się granica między fikcją a rzeczywistością. Brak analizy, przemyśleń, początku i końca, jednym słowem brak stabilności. Od tamtej chwili minęło dwadzieścia lat. Lista zmian gospodarczych i obywatelskich, które zaszły w przeciągu tych lat, jest długa. Na dachach domów wciąż jednak kotwiczą tłumy uciekinierów.

Raj utracony

W latach dziewięćdziesiątych anteny satelitarne były takim wyznacznikiem

dostępu do „wolności”, trochę przypominającym ludzi z dachów Marczewskiego. Pojawiły się nie tylko anteny, ale również zachodni i wschodni towar. Wówczas to ludzie chętnie kupowali na bazarach produkty z Niemiec. Na półkach sklepowych, po okresie pustych haków, zagościły atrakcyjne towary, przenośne sklepy/lóżka oferowały mydło i powidło. Przestały nam smakować polskie sery podpuszczkowe. Rosjanie wystawiali wschodni towar na bazarach po atrakcyjnych cenach. Szybkowary, zabawki dla dzieci i sztuce sprzedawane były kilogramami. Handel kwitł w zastraszającym tempie. Nawet dostęp do „pirackich” kaset wideo bądź audio był jak najbardziej legalny. Zniknęli „cinkciarze” spod Peweksów, ba Peweksy też zniknęły. Pojawiły się kantory. Pociągi wypełnione „biznesmenami” przemierzały setki kilometrów, aby pasażerowie mogli na czas dotrzeć na bazar w Berlinie, sprzedając Turkom kiełbasę krakowską i papierosy. Za marki uzyskane ze sprzedaży polskich towarów kupowano produkty w sieci sklepów Aldi, tam było najtaniej. Kolejna nocka w pociągu i te rozmowy niekontrolowane na temat egzotycznych towarów, które zostały zakupione za zachodnią granicą. Wówczas to my, dorośli ludzie, poznawaliśmy smak kiwi i granatów. Czy zatem na tym wstępie demokracji Polacy byli razem? Niestety, rosła rzesza bezrobotnych, zamykano zakłady pracy, likwidowano etaty, pojawiła się „kuroniówka”, a handel nadal kwitł. Polska wieś również się zmieniała. Ostatecznie zlikwidowano Państwowe Gospodarstwa Rolne. Przestrzeń „popegeerowska”, stanowiąca własność Skarbu Państwa, stała się tak de facto niczyja. W wielu miejscach nastąpiła dewastacja majątków oraz ogromne bezrobocie. Taki stan powodował izolację społeczną, redukcję oczekiwań, a w konsekwencji zanik kultury lokalnej.

stwierdziła jednoznacznie, że przyszło nam żyć w czasach walki o władzę

Wielu ludzi zadawało sobie wówczas pytanie, co nam dała ta wolność, o którą solidarnie walczyliśmy? Nagle znaleźliśmy się w rzeczywistości, do której nie byliśmy przygotowani. Profesor Marek Ziółkowski (wicemarszałek Senatu RP, kongresowy mówca) stwierdził, że w roku 1989 pojawił się tzw. indywidualizm oparty na wiedzy, nagle kolektywizm przestał być popularny. Polski indywidualizm był inny, aniżeli ten doświadczony, zachodni. Ten nasz okazał się negatywny, obronny, uciekający od wspólnotowości. Profesor stwierdził, iż nastąpiło wówczas osłabienie wspólnoty kulturowej w Polsce, myśl kulturowa została rozproszona, nastąpiła asymetria jej postrzegania. Za ten stan rzeczy odpowiadała m.in. strategia ekonomiczna kraju (bezrobocie, wyjazdy za pracą). Wówczas to bycie razem bardzo się skomplikowało. Niemniej jednak, wspólnota w Polsce jest w stanie „ekspłodować”, chociażby w momencie protestu, w chwili kiedy zaistnieje potencjał tegoż protestu. Taką wspólnotą było powstanie Solidarności. Przekonania religijne oraz narodowe mobilizują w obliczu nadzwyczajnych wydarzeń - śmierć papieża, katastrofa lotnicza pod Smoleńskiem. W takich chwilach Polacy naprawdę potrafią być razem.

Romantyczny patriotyzm

Dr. hab. Andrzej Nowak, prof. Uniwersytetu Jagiellońskiego skupił uwagę na problemie narracji narodowej Polaków. Stwierdził, że w warunkach eksplozji informacyjnej fikcja tworzy przestrzeń społeczną, nawet historia miesza się z fikcją. Tak jak u Marczewskiego. To smutne. Zarówno transformacja ustrojowa, jak i wstąpienie do UE przyniosło nam wiele korzyści. Co zatem zadecyduje o rozwoju Polski w XXI wieku? Na to pytanie odpowiadał dr hab. Cezary Wójcik, profesor Szkoły Głównej Handlowej w Warszawie. Zdefiniował współczesny patriotyzm, zaznaczając, że nie powinien on opierać się na romantyzmie, tylko wyznaczać pewne wartości, standardy. Zapewne profesor ma rację, ja jednak jestem romantyczną patriotką. Tak naprawdę, to nie chce nam się już politykować, zastanawiać nad patriotyzmem, ale kiedy pomyślimy szerzej, to dochodzimy do wniosku, że każdy z nas jest politykiem. Każdy z nas pełni określoną rolę społeczną, publiczną, nosi w sobie cząstkę polskiej rzeczywistości, więc pośrednio jesteśmy politykami. Ale czy patriotami? Warto zaznajomić się z tekstem kazania ks. Sławomira Żarskiego, które zostało wygłoszone 11 listopada 2010 r. w Warszawie. „Patriota - człowiek z wyobraźnią niepodległości” - tak brzmiała główna myśl owego kazania. Kiedy tak głęboko zastanowimy się nad wartością, jaką daje wolność, wówczas dochodzimy do wniosku, że ta wolność istnieje i że dobrze jest żyć w wolnym, niepodległym kraju. Kiedyś istniały jedynie marzenia o Pol-

sce wolnej, Polsce bez kłamstw i krat. Przekazy odnajdujemy w literaturze, pieśniach, myślach i łzach wygnańców. Odczytujemy słowa swoich przodków z pożółkłych, przechowywanych latami pamiętników, gdzie drżącą dłonią zapisano skrawki myśli, tęsknot i udręki. Przestańmy więc narzekać, dbajmy o naszą Polskę, jak o własne dziecko, pamiętając, że to dziecko czasami może być rozkapryszony i chore, ale bezgranicznie kochane. Aby rosło mądrze i szybciej, zależy w dużej mierze od nas samych. Od naszego rozsądku, bezpiecznego inwestowania, wzmacniania kompetencji, etc. Świat się zmienia, typy wyzwań zmieniają się jak w kalejdoskopie i my musimy pędzić do przodu. Nie stać nas na stagnację. Nasze dziecko potransformacyjne ma już 20 lat, to dorosły obywatel. Więc starajmy się, aby ten obywatel i kolejne rzesze obywateli nie były obciążone wiecznym długiem i problemami. Czy rozsądny człowiek pozostawia w spadku swoim dzieciom własne długi do spłacenia? Odwołam się w tym miejscu do słów ks. S. Żarskiego: „Żadna Polska i żaden Polak nie mogą być ludźmi pozbawionymi wyobraźni”.

Edukacja jest podstawą

Maciej Witucki (prezes Zarządu Telekomunikacji Polskiej S.A., przewodniczący Rady Programowej PFO), odwołał się do trzech wymiarów: gospodarczego, edukacyjnego i komunikacyjnego. Przekonywał, iż położenie geopolityczne odgrywa szczególną rolę. Każdy region bowiem rządzi się swoimi prawami, dysponuje własną lokalną ofertą, niepowtarzalnym dziedzictwem. Zdajemy sobie wszyscy sprawę, że jesteśmy różni i powinniśmy się dzielić tą różnością z innymi, jednocześnie korzystając z dorobku cudzego. Witucki nawoływał w swoim wystąpieniu do pozytywnej komunikacji, do określania własnych celów, wyzwolenia pozytywnej energii świadomych obywateli, również tych młodych. Nikt z nas przecież nie wątpi, że polska młodzież myśli. Grzechem byłoby odsuwanie jej od debaty, szczególnie w momencie wprowadzania zmian w edukacji. Inwestycja w intelekt opłaca się i procentuje. Uczeń doskonale wie, co przyniosła reforma w szkolnictwie, jak wygląda program nauczania, ponieważ bezpośrednio uczestniczy w tym dziele. M. Witucki ubolewa nad likwidacją przedmiotów artystycznych w szkołach, twierdząc, że „(...) gdzieś się zawieruszył rozsądek komisji, która tworząc gimnazja, zapomniała, że należy przy tym stworzyć odpowiednie warunki lokalowe oraz zapewnić odpowiednią kadrę merytoryczną, zarówno dla uczniów szkół gimnazjalnych, jak i uczniów szkół klas 1 - 6”. Tak dużo się o tym mówi, krytykuje niedociągnięcia ustawowe. Dyskusja na tym polu pozostaje nadal jałowa. Czas ucieka i nie da się odbudować strat. To my, dorośli serwujemy naszym pociechom dawki „najlepszych wyjść” w edukacji. A czy

któs z nas, decydentów zapytał młodego człowieka, czego tak naprawdę oczekuje? Jesteśmy przerażeni, że młodzież nie czyta, a jeżeli tak, to jedynie „śmieci” z obszaru literatury. Kto zatem tworzy i serwuje nieodpowiednią literaturę młodemu człowiekowi? Jeżeli w danym mieście młodzież ma do dyspozycji centrum handlowe i sklepy z dopalaczami, to oczywiście, z tego skorzysta.

Drogi rozwoju kulturowego Polaków

Zostawmy młodzież w spokoju, przejdźmy do kultury. Od wielu lat pracuję w Miejskiej Bibliotece Publicznej w Słupsku, dlatego też temat związany z kulturą interesuje mnie szczególnie. Uczestniczyłam w debacie tematycznej „Drogi rozwoju kulturowego Polaków”. W panelu wzięli udział: prof. dr hab. Paweł Boski (Szkoła Wyższa Psychologii Społecznej); dr Juliusz Braun (dyrektor Departamentu Strategii i Analiz Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego); dr hab. Barbara Fatyga (prof. Uniwersytetu Warszawskiego, Instytutu Stosowanych Nauk Społecznych); Maciej Strzembosz (prezes Zarządu Krajowej Izby Producentów Audiowizualnych) oraz Jacek Nowiński (dyrektor Biblioteki Elbląskiej).

Dyskusja była bardzo trudna i wielotematyczna. Starano się odpowiedzieć na pytanie, jak ma wyglądać upodmiotowiona sieć kultury w Polsce? Wskazano na ogromną rolę kultury, która de facto towarzyszy każdej sferze życia. Zwrócono szczególną uwagę na rolę kształcenia, zwłaszcza w szkolnictwie artystycznym (funkcjonowanie szkół artystycznych, szkół liderów kultury). Wskazano na rolę mediów publicznych, które w chwili obecnej nie sprzyjają twórczej stymulacji. Paneliści doszli do wniosku, że Polacy nie posiadają praktycznych umiejętności uczestnictwa w kulturze. Zwrócono uwagę na konieczność współpracy między ośrodkami akademickimi, a państwowym systemem oświaty oraz instytucjami kultury. Uznano, iż wprowadzenie pozytywnych zmian wiąże się z bezpośrednią działalnością tych instytucji, z ich ofertą, tworzeniem, odpowiednim współdziałaniem. Jeżeli instytucje kultury będą oferować odpowiednie narzędzia, skuteczną pomoc, to odnalezienie się w nowej rzeczywistości będzie prostsze. Kultura zaś stanie się żywą i przeżywaną częścią życia zbiorowego.

Kultura przez duże K

Juliusz Braun z Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego zwrócił szczególną uwagę na rolę kultury w budowie kapitału społecznego - istotnego czynnika naszego rozwoju. Nie musiał przekonywać uczestników, że kultura jest nośnikiem wielu wartości, które budują ten kapitał. Podkreślał, iż wspomniany kapitał stanowi

zasób zbiorowy ułatwiający wspólne działanie. Takie działanie, inicjowane przez jednostki twórcze, kreatywne, komunikatywne, wpływa na wspólny sukces, rodząc kolejne talenty. J. Braun przekonywał, że kultura jest źródłem rozwoju owych talentów. Zarządzanie tą sferą życia społecznego - tak wrażliwą na jakość tego zarządzania - jest niezwykle trudne. Odnalezienie się w nowej rzeczywistości, z nowymi technologiami, wyzwaniem i uwarunkowaniami ekonomicznymi nie stanowi problemu niemożliwego do rozwiązania. Należy zharmonizować kulturę i ekonomię. Na wyboistej drodze do rozwoju musimy stale pamiętać, że to właśnie kultura jest bazą do budowy i cementowania lokalnej tożsamości, doskonałym narzędziem do przekazywania wartości oraz czynnikiem przyspieszającym rozwój ekonomiczny. Rozwija się szybciej niż inne dziedziny, jest więc ważnym detałem rynku tworzącego kapitał. Zatem, edukacja kulturalna nie może być traktowana jako edukacja zawodowa. Panuje błędne przekonanie, że człowiek kultury jest pracownikiem instytucji kultury. Dr Barbara Fatyga oparła swoje wystąpienie na badaniach z tego obszaru. J. Braun zwrócił szczególną uwagę na kształcenie liderów w obszarze kultury, aby móc nie tylko zmienić stereotyp, ale przede wszystkim wypracować czynnik kreatywności, niezbędny w tym obszarze. Zmieniają się narzędzia dostępu do kultury oraz sposoby uczestnictwa w niej. Formy tradycyjne zajął się z nowoczesną technologią i zbyt powolnie zostają wprowadzane do procesu edukacji. Rewolucja informacyjna ciągle trwa, niezaprzeczalnie łączy się z cyfryzacją, a tym samym wpływa na sposoby komunikowania się. J. Braun uważa, iż dostęp do sieci musi być zintegrowany z polską kulturą. Polacy powinni mieć bezpośredni dostęp do treści cyfrowych. Rząd finansuje digitalizację, wskazując przy tym na ogromną rolę mediów publicznych. Przeciętny obywatel spędza przed ekranem telewizora i komputera wiele godzin. Media powinny być zatem odpowiedzialne za przekaz, sprzyjając twórczej stymulacji.

Biblioteki

Nie mogło zabraknąć dyskusji na temat funkcjonowania i rozwoju bibliotek w Polsce. Wiele słów padło na temat skostniałych Związków Zawodowych Bibliotekarzy. Może już nadszedł czas, aby przemodelować te związki, by bibliotekarze mogli w godnych warunkach pełnić swoją misję. Jacek Nowiński w podsumowaniu stwierdził, że instytucje kultury mają problem z podmiotowością, traktowane są jak samorządowe gospodarstwa pomocnicze. Niezaprzeczalnie, działalności biblioteki towarzyszą słowa, sztuka zaś uczy odczuwać i dostrzegać to, czego dotychczas nie dostrzegaliśmy i nie czuliśmy. Dlatego też szczególnie ważnym staje się oprócz wielu zakresów i

form edukacji szkolnej - edukacja kulturalna. W szkołach zaś już są widoczne efekty braku tej edukacji. Nie zachęca się ucznia do czytania, do analizy dzieła literackiego, poruszenia kwestii estetyki, czy świeżego spojrzenia na architekturę. J. Nowiński nawołuje do powrotu do szkół przedmiotów artystycznych oraz do tworzenia synergii między szkołami i instytucjami kultury.

Wehikuł, który nie ma czasu

Czy istnieje ideał życia społecznego? Ideałów chyba nie ma, niemniej warto określać cele, które doprowadzą do rozwoju w obszarze kultury. Najprościej jest realizo-



Fot. Archiwum

wać cele w swoich własnych lokalnych społecznościach. Podstawą zaś jest jednostka i jej dążność do samorealizacji. Dr Maciej Krajewski, prof. Uniwersytetu Adama Mickiewicza w Poznaniu (Instytut Socjologii) w komentarzu stwierdził, iż wspomniane cele nie mogą mieć charakteru partykularnego, muszą być uniwersalne. Osiągnięcie ich nie jest proste, wymaga wielu wysiłków, przede wszystkim eliminacji barier w dostępie do kultury. Przy czym należy pamiętać o wspieraniu twórczości spoza systemu. Rozwój kulturalny i społeczny nie ma charakteru monoliniowego. Potrzebujemy silnej narracji narodowej oraz wzmocnienia naszego potencjału. Nawiązując do wypowiedzi prof. Ryszarda Legutko, przemierzanie się wehikułem, który ma nas zabrać do lepszego jutra, nie jest proste, niemniej jednak konieczne. Nie stać nas na stratę kolejnych długich lat.

Poważnym problemem jest niska jakość życia publicznego. Polacy nadal w niewielkim stopniu korzystają z przysługujących im praw, w tym prawa do wpływania na politykę i na decyzje podejmowane przez władze. Przykładem jest frekwencja wyborcza. Odsetek osób uprawnionych do głosowania, które oddały swój głos w ostatnich wyborach samorządowych, był żenujący. Za każdą władzą stoją ludzie, tacy sami jak my, niekiedy omylni, więc czego się tak naprawdę obawiamy, podporządkowując swoje własne myśli cudzej woli? Polska demokracja jest udana, ale nie bezbłędna, stale na nią urągamy, ale ona działa - powiedział Prezydent Aleksander Kwaśniewski, podsumowując

Kongres. Tylko od nas zależy, czy będzie ona działać z naszym udziałem, czy też bez niego. Osobiście, nie chcę na oślep „uciekać z kina Wolność”, chcę wreszcie żyć naprawdę w wolnej Polsce, stąpając bezpiecznie po ziemi.

Na zakończenie pragnę przywoływać słowa prof. Pawła Boskiego, który bardzo krytycznie ocenił rok 2010. Stwierdził jednoznacznie, że miniony rok przejdzie do historii Polski, jako rok zły. Przejawia się to w niewielkiej odpowiedzialności społecznej Polaków oraz niskiej skuteczności instytucjonalnej. Profesor mówił o braku odpowiedzialności za słowo i czyn. To smutne. Ale skoro tyle wiemy, znamy błędy innych oraz własne wady, dlaczego nie próbujemy tego zmienić? Stale zadaję sobie to pytanie.

Danuta Sroka
Miejska Biblioteka Publiczna w Słupsku

Lulaj Boże Dziecią

Zespół wokalny „Chanter” był najlepszy i zawiózł do Potęgowa Grand Prix

XI Powiatowy Przegląd Kolęd i Pastorałek odbył się w Jezierzycach. Żeński zespół „Chanter”, składający się z dwu młodych nauczycielek, dwóch studentek i gimnazjalistki, pracujący ostatnio pod kierownictwem Piotra Pędzicha, wykonał brawurowo i porywnająco kolędę pt. „Lulaj Boże Dziecią”. Jury nie miało wątpliwości i jednogłośnie

wskazało głównego laureata.

W trzech kategoriach: wykonawcy na poziomie szkoły podstawowej, gimnazja i wyżej oraz dorośli, wzięło udział 12 solistek i solistów, jeden duet i 16 zespołów. Najwięcej uczestników zgłosiło się w kategorii „dorośli” i reprezentowali oni najwyższy poziom. Najslabiej zaprezentowali się

najmłodszy uczestnicy, dlatego w tej kategorii przyznano tylko jedną nagrodę, którą otrzymał chłopięcy zespół „Trio” z Potęgowa za kolędę „Jest taki dzień”.

W kategorii gimnazja i wyżej pierwszym miejscem nagrodzono zespół „Muszelki” z Ustki za „Kolędę nadmorską”. Dwa drugie miejsca przyznano Martynie Burzyńskiej z gminy Słupsk za „Piosenkę świąteczną” i Martynie Szymańskiej z Ustki za „Nie było miejsca dla Ciebie”. Trzecią nagrodę otrzymał zespół „Oktawa” z Krępy Słupskiej za „Północ już była”.

Fot. J. Maziejuk

Zawsze ta wieś gdzie

Świat, w którym różnokulturowość stanowiła kwintesencję prostego życia, nieodwracalnie opuścił osadę, gdzieś zostawiając ślady minionej świetności, a nam, pozostałym pamiętnikarzomznaczonym pręgiem przeżyć, kłębią się te wspomnienia w pamięci, z którymi nie możemy się pogodzić

Bociany już odleciały, zapadł zmierzch nad dachami podwilczyńskiej osady. Przez okna pobłyskuje blichtr telewizora, rozświetlają się wnętrza domostw. Świecą latarnie nad frydyjcówką, rzucając skąpe światło, skrzę się kocie łby kamiennego traktu. Od jeziora zawiewa chłodem. Gdzieś ujada pies, ktoś spóźniony na wiadomości przemyka wtuliwszy głowę w kołnierz.

Noc jest tu czarna, smoła czerni oblepia drzewa i kontury chałup, wgryza się w gnijącą trawę, tapla się w podeszczowej egzystencji. W wieczory, takie jak ten, zbierały się gospodynie w jednym z domostw na wspólne darcie pierza. Poprzez maleńkie okienka, wtopione w szerokie mury, zza wzorzystych firanek płynął nostalgiczny śpiew. Wręcz powoli i cicho jakby od niechcenia któraś z kobiet intonowała znaną zgromadzonym melodię i rozbrzmiewało śpiewanie. Skowronkiem zdrgało powietrze, muskając pojedynczo bardzo delikatnie. Potem, jakby zniemacka, stado wron wzbilo się w czarne chmury i rozbiło ilością skrzydeł nuty na drobne cząsteczki, wprowadzając zamierzone drgania i rozłupując obłoki na mniejsze części, które teraz przysiadły ciemnym zwiastunem deszczu nad dachami chałup, aby opaść niespodziewanie lotem jaskółki i lecieć nisko tuż przy ziemi, jakby przed burzą, potem równo jak stado wróbli, które dumnie zasiadło na drutach elektrycznych nieopodal sklepu, otrzępując się z wilgoci. Pieśń napełniały wnętrza pomieszczeń nieznanym pięknem, brzmiały tęsknotą za czymś utraconym, za słodkim zapachem dzieciństwa, za młodością, za miłością. Krajobrazy Mickiewi-

czowskich wierszy, panoramy malowane żółcią i czerwienią z pomarańczowożółtymi poletkami. Wyobraźnia unosiła do tych wzgórz, pagórków i równin, aby snuć się we wnętrzach chat, położyć na zapiecku, przejść po starannie zadbanych izbach z przepięknie inkrustowanymi chodniczkami. W tej unikalnej chwili wędrować nad Bugiem, Dniestrem, Niemnem, Sanem, postawić stopę w rozlewisku Wisły i Odry, chłonąć nieomal trzewiami woń świteż, mglista bryza rzek muskała delikatnie tworząc zaporę dla jej świata. Świata dziewczęcej fascynacji wszystkim odmiennym od tego, co słyszała od mamy o Polsce jej młodość. Oryginalność wyobrażeń kłóciła się z otaczającą rzeczywistością, krzyczała słowami o sprawiedliwości dziejowej, o Polsce szklanych domów, gdy piśmienny dziad w podartym paletku z sąsiedniej wsi za talerz ciepłej zupy czytał Żeromskiego. Wtedy też nie bardzo mogła uwierzyć w ducha nowych czasów. Krążył jak zmoira, któremu wyrastały skrzydła wszechwładnego komunizmu, aby absorbować Ubeckopartyjną opieką. Narzucony system obowiązywał w jaźni narodu, nosił woń niepodporządkowania odmiennością chłopskiej mentalności. Pozoranctwo myślenia objawiało się brakiem poszanowania doktryn komunistycznych idei. Byli oczywiście składnią, pracowali dla wzniosłych haseł, wywieszali czerwone flagi w państwowe święta, zbierali się na krzyżowce wsi. Chłop w skali warstw mas pracujących kraju zaraz po robotniku pracował najczęściej w niesprzyjających warunkach, często w piekącym upale, deszczu i zimnie. Wysięk, jaki wkładał, nie był nigdy



Wśród dorosłych wykonawców najwyższej, poza laureatem Grand Prix, oceniono zespół żeński „Wiśta Wio” z Potęgowa za „Tryumfy Króla Niebieskiego”. Drugie miejsce w tej kategorii zdobył zespół „Babiniac” z Rowów za „Biały śnieg”, a dwa trzecie - zespoły „Szczebiotki” z gminy Kępice (za „Śliczną gwiazdę”) i Maria Ławrenowicz (za „Wielki Bóg - małe Dziecię”).

Wyróżniono „Świtezianki” z Głębina za „Przybieżeli do Betlejem” i „Pietruchy” z Biesowic za „Kolędę Jezusa Narodzonego”.

Przeegląd zorganizowano według nowej formuły i wiele zespołów prezentowało naprawdę zadawalający poziom.

Szymon Rogowski ze Słupska, który od ponad czterdziestu lat działa w artystycznym ruchu amatorskim, mówił, że z podziwem patrzył na zespoły, które same sobie akompaniowały, a do tego jeszcze całkiem niezłe śpiewały. (Z.Z.)

es przedemną

adekwatny do przewidywanych korzyści finansowych. Zarówno wcześniej, jak i potem zaznaczył się trudny okres, gdzie ziemia leżała odłogiem, a tego przeżarta trudem chłopska dusza nie mogła znieść. To tylko tej ziemi tak naprawdę przysięgał i był wierny do końca, dla niej cierpiął głód na przednówku, dla niej umierał z wyczerpania pracą. Często była ona ważniejszą od rodziny, dzieci i reszty. Ziemia stanowiła podstawę bytu, była wpisana w chłopski życiorys, była drugą połową tego samego rolniczego trudu.

Maria, będąc wtedy niespełna ośmioletnią dziewczynką, nie mogła znać tamtych czasów, ale zapamiętała je, słysząc w opowieściach w długie zimowe wieczory podczas właśnie darcia pierza, spotkań, podczas których przezroczysty płyn w butelce rozwiązywał języki nawet najbardziej małomównym gościom. I wtedy, gdy domorosty kwartet wokalistek przypominał o swoim istnieniu, przekomarżając się, wzajemnie nucąc melodię z pogranicza rosyjskich dumek i pieśni ukraińskich. Do dzisiaj ich brzmienie nieodwracalnie przypominać będzie dom, lata dzieciństwa, wizerunki sąsiadów i klimaty, jakie wówczas były obowiązkową normą. Znała tu wszystkich, wymieniając chociażby rodziny Pabisiów, Zaczków, Nestorowiczów, Kielbasów, Andrearczyków, Sadowskich.

Gestem dłoni ucinam długą wyliczankę stojących w kolejce, pragnąc się przede wszystkim skupić na opisach ludzi, obyczajach i wdziękach krajobrazu. Na analizę poszczególnych rodzin i ich losów przyjdzie z pewnością czas później. Nurtuje mnie bowiem myśl stworzenia historii podwilczyń-

skich przedwojennych i powojennych rodzinnych losów. Godzinami słupskich sobotnich popołudni, samolotem utkanym ze wspomnień szybujemy po podwilczyńskich włościach, muskając skrzydłami drzewa, przeglądając podwozie w nieruchomej tego popołudnia tafli jeziora, biorąc kurs nad chałupy, zaglądając sąsiadom w okna, aby zatoczyć koło nad cmentarzem, pomodlić się nad grobami rodziców, wypić cieką herbatkę przed snem i zasnąć w łóżku z bławatków podwilczyńskiej łąki. Wspomnienia miejsc zabaw, biały dom w pruską krąg powracający w snach, który na kilkanaście lat stał się jej domem, twarze rodziców, wizerunki wyczerpanej matki i uśmiechniętego żartobliwego ojca, rodzeństwa, najbliższych sąsiadach, płynęły niesione przez jezioro i rozbiły się niechybnie o tataraki na drugim brzegu. Nostalgia za tym miejscem na przemian była przekleństwem i dobrodziejstwem, każda z tych przypadłości wywoływała nieograniczony smutek za przemijającym czasem. Powstała w tym trudnym okresie i przetrwała do dzisiaj epopeja narodowa, której strona po stronie zapisywali swoim życiem.

Śiąpiący drobny deszcz, to tutaj nic nadzwyczajnego, lecz w taki dzień jak ten, można mieć wrażenie, że to niebo płacze kroplami łez i wylewa nieutuloną tęsknotę za minionym życiem, zbiera w sobie wszystkie prośby i modlitwy za nieżyjących, aby wylać za cmentarną bramą białą gorzką boleść, aby zahartować żyjących w deszczu łez, w strumieniach nieuniknionego. To deszcz niezwykły, podwilczyński wraz z bryzą jeziora i mamro-

taniem wiatru stanowiąc będą odtąd owe żywioły, które przedzierzną w nas jak duchy zmarłych, jak ich ciała ulotne z listopadową poświatą.

Zamaszyste gesty wiatru wytrącają ze sru gałęzie, rozsypując wokoło tumany zalegających liści, dopełniając barwą ciemnoszarych, nisko przemieszczające się chmury. Te gadatliwe, roztrzepane brunetki prawie stykają się z pofałdowaną taflą jeziora Rybiec. Całują się lubieżnie, z czułością dotykają się jak starzy kochankowie, nieomal toną, przeglądając się w jego wodzie, rozczesując potarganą fryzurę, zatracają gdzieś granicę horyzontu, umownej stabilizacyjnej linii między ziemią a niebem. Jest zimno jak zwykle o tej porze, o porze jesieni, gdy ta sroży się pióropuszem zwiedłych liści, przybierając na sile, zapowiadając nieuchronne nadejście zimy, chyba najpiękniejszej z pór miłościwie panującej tu przez kilka miesięcy, obejmującej we władanie wszystko po najdalsze zakamarki krajobrazu.

Zofia Lipińska z domu Kwiecień urodziła się w 1923 roku niedaleko dzisiejszej miejscowości Dwikozy. Po miejscu narodzin pozostało niewiele, kilka wspomnień, parę zdjęć i pusty dziś plac zarośnięty trawą. Do Podwilczyna przyjechała z mężem Franciszkiem i z rodziną Nestorowiczów. Pierwsi obejmowali gospodarstwa. Kiedy przyjechali, we wsi mieszkali jeszcze Niemcy, dopiero w późniejszym okresie wysiedlono ich, a pojawili się nowi osiedleńcy, głównie z wschodnich rubieży i tzw. centralnej Polski. Ta różnorodność kulturowa wyłoniła specyficzny konglomerat, który nie bez oporów rodził nową rzeczywistość. Zofia lata okupacji spędziła na pracy przymusowej w Niemczech, tam poznała Franciszka. Wyzwolenie niosło ze sobą nowe perspektywy, a na mocy umów międzynarodowych państwo polskie stworzyło możliwość obejmowania w posiadanie

dla niej cierpiat głód, dla niej umierał z wyczerpania pracą

poniemieckiego mienia. Z pewnością duży ich tamta Polska z dwiema morgami ziemi, jedną izbą mieszkalną, glinianą polepą i wieloma spadkobiercami do schedy po ojczym. Bezapelacyjnymi autochtonami od dawna byli tu kaszubi, ale ich było procentowo niewielu, z niezrozumiałym językiem, wśród szeregów napływającej ludności tworzyli autochtoniczną garstkę odmieńców. Właśnie język był początkowo głównym czynnikiem izolacji wąskiej grupki ludzi.

mieniołomów. Przyjechawszy na ziemię odzyskane objął niewielkie gospodarstwo rolne w Podwilczynie, z zaledwie kilkoma hektarami ziemi czwartej klasy. Co było powodem, że właśnie Podwilczyn stał się ziemią obiecaną, tego prawdopodobnie nie dowiemy się nigdy. Kolejno przychodzące na świat dzieci budziły nieskrywany entuzjazm. Najstarszy Stefan i Irena umarli przedwcześnie. Bogusia, Jan, Elżbieta, Irena, moja Maria, Władysław i Piotr stanowią odtąd dumę Lipińskiego gniazda. Wszyst-

nie zakończonym uchwytem. W tle ogrodu znajdowała się stodoła, była duża, połączona z oborą i stajnią, gdzie swoje zacisze miał koń Siwek. Osaczona drzewami owocowymi o jabłkach z niepowtarzalnym smakiem. Za stodołą był gnojownik, dalej rozpościerał się widok na królestwo zagonów, grządek, rabatów, w tle z panoramą jeziora. Po prawej stronie widniało duże składowisko drewna, później był płot i furtka, a za nią ścieżka wiodąca prosto do jeziora. Przy płocie - rzędy świerków dawały



Fot. J. Maziejuk

Osiedleńcy, niedawni nędzarze obejmowali gospodarstwa w większości wyposażone w dobrze zachowany park maszynowy. Młockarnie napędzane pasem transmisyjnym stanowiły niekiedy wyposażenie podwilczyńskich stodoł. W tym okresie nic nie mogło być oczywiste, bo jeśli założymy, że chęć posiadania gospodarstwa rodziła nieokiełznaną radość, to w końcu musiały nasunąć pewne refleksje. W tych dniach władza była jeszcze krucha i tymczasowa, z rzadko rozszanowanymi posterunkami milicji obywatelskiej. Brakowało wszystkiego, głównie zboża i ziemniaków. Z wiecznych tułaczy miał powstać zamierzeniem komunistycznych władz naród rolników i robotników dźwigających na barkach główny nurt odbudowy kraju. W wyniku swoistego kolażu ugruntował się los narodowy ludzi splecionych wspólnym obcowaniem, przenikaniem kultur, tych z rzeki i tych z centralnej Polski.

Franciszek Lipiński urodził się w 1920 roku w małej wsi niedaleko Wielunia. Po okresie pracy przymusowej, spędzonej u niemieckiego gospodarza, wrócił do kraju. W tzw. międzyczasie były długie miesiące w obozie koncentracyjnym, prawdopodobnie w Zwagzeghausen, lecz dzisiaj nikt nie potrafi tego zweryfikować. Prawdopodobnie to matka Franciszka wykupiła go za złoto od strażników i uciekł on któregoś dnia z transportu do pobliskich ka-

ko co wiedział i czego nauczył się, pracując z końmi, pomogło mu później zająć się ich niewielką hodowlą i sprzedażą. Był w tym zakresie w okolicy cenionym rzeczoznawcą. Egzystencja na kilku hektarach najniższej gruntowo ziemi sprawiła, że musiał zająć się czymś dodatkowym, aby utrzymać kilkusobową rodzinę. Drabiniastym wozem na gumowych kołach był częstym klientem słupek punktów skupu i uczynił z tego w pewnym sensie intratną profesję. Trzy razy w tygodniu wozem zaprzężonym w Siwka krążył po okolicznych wsiach, skupował złom, butelki, stare szmaty, wełnę z owiec. To wszystko wymieniał potem na nowe emaliowane garnki, patelnie, chusty. Dzieciom, niezmiennie wypłacał całe garście cukierków, dlatego wszędzie, gdzie się pojawiał, dzieci nie odstępowały go na chwilę, znosząc mu stare garnki, szmaty i butelki podebrane rodzicom.

Dom w pruską kratę, białe ściany z symetrycznie rozmieszczonymi czarnymi belkami. Jeden z większych, lecz do dzisiaj zachowała się tylko skromna imitacja. Pożar strawił jedną trzecią budowli. Od strony ulicy był sklep, którego losy toczyły się jednak różnie, czasami spełniał on rolę magazynu założonego skrzynkami z butelkami. Za domem rozciągało się podwórze, rzadko wykładane kamieniem, częściej porośnięte trawą, z żeliwną pompą wodną w centralnym punkcie obejścia, ze śmiesz-

ukojenie od upałów. Tam, też była niewielka polana, na której spędzała wolne chwile z koleżankami. Niedługo potem gospodarka rodziców, wraz z domem, zniszczyła. Niespodziewany pożar stodoły, kolejno niedoinwestowanie i ogólne zaniedbania w tym zakresie doprowadziły do zrzeczenia się gospodarstwa na rzecz gminy. Wizja mieszkania w mieście zwyciężyła nad zwykłym pragmatyzmem.

Zachowując jedynie nienaruszone ogniem konstrukcje, dom wyremontowano z funduszy gminy, nieodwracalnie jednak zaniechano pruskiego muru. (...) Po śmierci mamy wszystko było już bez odrobiny koloru. Do tego jeszcze, w późniejszym okresie w niewyjaśnionych okolicznościach, wypadek ojca i w następstwie przewlekła choroba, wykluczyły prawidłową egzystencję w niszczącym gospodarstwie. Śmierć ojca definitywnie przyspieszyła decyzję o wyjeździe do miasta - oazy wszelkich westchnień i marzeń. Tutaj nie trzeba orać, siać i zbierać. Aby mieć, wystarczy czasem odrobina wygodnictwa.

Kiedyś prawie każdy z mieszkańców trudnił się rolnictwem. Była nawet Spółdzielnia Kółek Rolniczych, której widmo straszy dziś opuszczonymi budynkami i szkieletami zardzewiałych i porzuconych maszyn. Z upływem lat, nieudanymi z perspektywy czasu reformami rolnictwa, partyjnymi pomysłami na zmianę struktur rol-

nych, z kolejnymi parcelacjami i innowacjami na uprawę pól ornych, stan aktywnych rolników zastraszającą maleje, powodując nieuchronną pauperyzację mieszkańców wsi i częstszy niż w przeszłości, wyjazd do miasta w poszukiwaniu pracy. To mniej więcej w tym okresie do użytku wchodzi określenie chłoporobotnik. Efemeryda powodująca rozdrażnienia aniżeli ujednoczenie i konsolidację problemów rolnictwa. Na użytek miasta chłopstwo zatracza pierwotny rozwój i kwalifikację, wiedzę przekazywaną z pokolenia na pokolenie, przez ojców, wujostwo i rodzinne tradycje. Paradoksalnie mieszkając na wsi, w mieście wytwarza produkty będące poza zasięgiem posiadania. Rolnictwo szczególnie traci, nieopatrnie brnie w obszary absurdałnej polityki państwa z dogmatem wielkich i monstrualnych kombinatów. Gleby jałowięją nadmiernie karmione „polifoską”, niezbrane ziemniaki toną w śnieżnej breji, nieracjonalność polityki rolnej doprowadza do zaniechania w większości przypadków produkcji indywidualnych gospodarstw. Krążący w społeczeństwie w tych latach dowcip dobitnie oddaje sytuację odnoszącą się do zagadnienia. Na polu zostały niezbrane ziemniaki i zboże. Odpowiedź mogła być tylko jedna, bezsprzecznie pierwsza biera się egzekutywa partii. Należy tu przy okazji zaznaczyć jak trudne były jeszcze do niedawna losy o chłoporobotniczym charakterze, które miały przecież służyć polskiemu państwu, mające według wyobra-

żeń decydentów współbrzmieć z ideałami rozwijającego się nowoczesnego kraju.

Świat, w którym różnokulturowość stanowiła kwintesencję prostego życia, nieodwracalnie opuścił osadę, gdzie zostawiając ślady minionej świetności, a nam pozostałym pamiętnikarzom zaznaczonym pręgierzem przeżyć, okraszonym biedą, chłodem, znikomą radością, kłębią się te wspomnienia w pamięci, z którymi nie możemy się pogodzić. Zachłysnąłem się niewątpliwymi walorami tego miejsca z czasów pamiętnego grudnia 1979 roku, kiedy po ślubie pożyczonym samochodem przemierzaliśmy Puszczę Łysomicką, tonącą w bieli śnieżnej koldry. Zatrzymaliśmy się na wprost drewnianych furt cmentarza i wszystko zdało się nijakie w takiej chwili, nieważne, małe i pozbawione sensu, oprócz pochylonych dwóch sylwetek nad grobem Zofii. W życiowej otchłani składając wiązkę ślubną w otaczającą ciemną i mroźną rzeczywistość, zdaliśmy sobie sprawę z decyzji takich chwil, z obietnic złożonych gdzieś, kiedyś samemu sobie, z potrzeby serca i rozumu. Ta chwila nieodwracalnie zmieniła mój punkt postrzegania rzeczy innych niż miejskie ulice i skwery, na dobre wpoila umiejętność obserwowania z pozycji przybysza z zewnątrz stawiającego pierwsze kroki na polu ściętego zboża i przeoranej skiby, przypomina się śnieżynkami na wietrze w pamiętny grudniowy wieczór. Wraca do starych niemych drzewiastych autochtonów, jegomości roz-

stawionych wzdłuż szosy, do absolutnego fenomenu kojącej ciszy, która nieznanymi sposobami dla miastowego intruza estakadą wyciszenia świdruje mózg, wwierca się w zapamiętywanie. Człowiek po takiej terapii inaczej postrzega otaczający świat, łatwiej jest pokonywać zatłoczone ulice, łatwiej jest przejść niewidocznie na drugi brzeg, zostawiając za sobą rozszalałą bezimienną człekokształtną masę przechodniów. (...)

Zamknięci w kwadratach mieszkań rzadko zdajemy sobie sprawę, ile tracimy za cenę waloru konsumpcji i braku kontaktu z naturą. Wyobcowani i bezpieczni za wysokim płotem współczesności niewiele wiemy o sobie. Zgola inny ogład spraw występuję wtedy, gdy jesteśmy bliżej wiejskości. Moi dziadkowie osiedliwszy się w Słupsku byli chłopami z centralnej Polski, ojciec z okolic Zduńskiej Woli, teraz ty, Mario. Zawsze ta wieś gdzieś przede mną, gdzieś obok mnie, gdzieś za mną i we mnie, w plecaku lub z torbą na zakupy, gadatliwa lub milcząca, prostacka, czasem chamska, niewykształcona, ale zarazem mądra, zaradna i rezolutna. Jest obecna w moim życiu i należy ją chłonać, chwycić garściami, składać jak pierwsze zdanie z elementarza, budować makiety i pisać o niej książki, po to, aby ją podsycać, wdrażać i zapamiętać. Zapamiętać wszystko, każdy szczegół, każdego człowieka, każde ziarno rzucone wiosną w świeżo przeoraną skibę.

Czesław Bronisław Kowalczyk, Słupsk

Można wyrażać uczucia

Łatwiej było wyrazić wesołość i poczucie szczęścia niż gniew i złość



Fot. Archiwum

W Młodzieżowym Ośrodku Socjoterapii w Ustce zorganizowano warsztaty dramy „Kolory uczuć”. W zajęciach wzięli udział uczniowie z Gimnazjum im. gen. M. Żaruskiego, Liceum Ogólnokształcącego, Zespołu Szkół Technicznych i Ośrodka Socjoterapii.

Warsztaty odbywały się w małej salce teatralnej, remontowanej i tworzonej przez

wychowanków ośrodka, a wyposażonej ostatecznie dzięki funduszom Starostwa Powiatowego w Słupsku w kompletne oświetlenie sceniczne oraz dzięki nagrodzie finansowej, jaką uzyskał Teatr Eksperyment z MOS za zajęcie I miejsca na II Regionalnych Konfrontacjach Teatralnych w Kępicach, w przytulną wykładzinę podłogową. Uczestników warsz-

tatów zaskoczyła intensywność ćwiczeń, używanie jako tworzywa własnego ciała, gestu, mimiki, głosu. Młodzież uczyła się pokazywać złość, radość, zdumienie, zaciekawienie, zdenerwowanie, miłość, ból. Jak pokazać wstyd, lęk, obawę przed ośmieszeniem. Dzień pierwszy był trudny i obfitujący w silne przeżycia. Drugiego dnia prowadzono działania z użyciem kolorowych świateł. Udało się stworzyć autorski scenariusz pokazu na finał, przeprowadzić autorskie wywiady za pomocą kamery oraz sesję fotograficzną.

Uczestnicy warsztatów poznali smak spontanicznej, radosnej zabawy, a przede wszystkim realizowali ćwiczenia dramatyczne. Tworzyli scenki sytuacyjne, podejmowali próby wyrażania własnych uczuć - negatywnych i pozytywnych. Okazało się, że łatwiej było wyrazić wesołość i poczucie szczęścia niż gniew i złość. Rozmowy o emocjach - mechanizmach ich powstawania, kontrolowania, wyrażania, ale i tłumienia, błędnej ich interpretacji u innych osób były nieodłącznym, zasadniczym elementem warsztatów. (MOS)



Fot. J. Maziejuk

Turniejowe zmagania kół

Dziewięć kół wzięło udział w VI Powiatowym Turnieju Kół Gospodyń Wiejskich. Najlepsze w turniejowej rywalizacji okazało się koło z Wrzącej

Koła zmagaly się 12 lutego w Jezierzycach, w sześciu konkurencjach: miały na wesoło zatańczyć kankana, pokazać się w scenie kabaretowej pt. „Szukam pracy”, zaprezentować modę XXII wieku, produkt tradycyjny z ziemniaków, wystąpić w karaoke i przygotować planszę obrazującą aktywność sołtysa swojej wsi. Wszystkie musiały popisać się naprawdę nie lada pomysłowością i umiejętnościami, by spełnić wymagania organizatorów turnieju, tj. Pomorskiego Ośrodka Doradztwa Rolniczego - Oddziału w Strzelinie, Starostwa Powiatowego w Słupsku oraz Urzędu Gminy Słupsk. Walczyły o główną nagrodę w wysokości 3 tys. złotych - ufundowaną przez słupskie starostwo i prawo udziału w Wojewódzkim Turnieju KGW. Burmistrzowie, wójtowie gmin, przedstawiciele różnych instytucji od początku honorują koła dodatkowymi nagrodami rzeczowymi. Tak było też w tym roku. Nie było koła, które nie otrzymałoby nagrody.

Należy podkreślić duże zaangażowanie organizatorów w przygotowanie turnieju, a także ogromną aktywność i od-

wagę kół w publicznych prezentacjach, na oczach licznie zgromadzonej i dopingującej widowni. Wszystkie koła porywająco, bez względu na wiek uczestniczek zatańczyły kankana, bardzo ciekawie zaprezentowały się też w pokazie mody XXII wieku, nieco gorzej wypadły w scenie kabaretowej i niektóre - w karaoke.

Pięciosobowe jury tym razem najwyższą ocenę Koło Gospodyń Wiejskich z Wrzącej (gm. Kobylnica) i ono zostało głównym laureatem turnieju. Kolejne miejsca zajęły koła z: Łupawy, Kusowa, Stowięcina, Charnowa, Krępy Słupskiej, Dębnicy Kaszubskiej, Barcina i Smółdzina. W tegorocznym turnieju nie było tylko koła z gminy Damnica, a gospodarz imprezy - gmina Słupsk, zgodnie z regulaminem, zgłosiła do turnieju dwa koła.

Kolejny turniej potwierdził, że impreza, choć nie pozbawiona jeszcze pewnych mankamentów organizacyjnych, jest potrzebna, uczy i bawi, mocno aktywizuje koła wiejskie, a odbiorcom, zwłaszcza artystycznych prezentacji, dostarcza niezapomnianych wrażeń. Turniej wyzwala dobrą, zdrową konkurencję. **(zbx)**

Marek Bohdanowicz być może jest zwyczajnym emerytowanym leśniczym, ale jako właściciel psów i miłośnik polowań, nie jest zwyczajny. Nie zażyczył sobie prawa do bezwzględnej panowania nad zwierzętami. Były ludzkie i były zwierzęce to dwa nawzajem przenikające się mikrokosmosy, które winny żyć w zgodzie, z poszanowaniem elementarnych praw i obowiązków. Zwierzęki ceni za inteligencję, lojalność i pracę. Otoczony więc był i jest psami bez rodowodów, ale z charakterem - inteligentnymi, lojalnymi, wiernymi i gotowymi nie tylko do pracy, ale i do oddania życia za swego pana.

Wiadomo, że psy żyją krócej i odchodzą szybciej, a na ich miejsce przychodzi następne. Taka jest kolej rzeczy. Żał po odejściu zwierzęcia nie jest tak intensywne, jak po odejściu człowieka, ale jest i pamięć o nich... Właśnie. Człowiek utrwała swoich pupilów na fotografiach. Są ludzie, którzy mają albumy z ulubieńcami. Zdjęcia budzące wspomnienia niezliczonych zdarzeń, sytuacji, anegdot związanych z najbardziej bezinteresownymi towarzyszami człowieka, jakimi są psy. Jego posesja znajduje się właściwie poza granicami zwartej zabudowy i dotyka rzeki Łupawy. Nie jest to teren ogrodzony, a granice wyznaczają różnorakie drzewka oraz wykoszona trawa. Po posiadłości luzem biegają trzy psy: dwa niewielkie, o sterczącej, szczeciniastej sierści i jeden duży czarny. Te małe nie wyglądają na groźnych, za to ten duży budzi strach. Wszystkie trzy uważnie obserwują przybysza, i tylko ten duży szczeknięciem oznajmia, że dostrzega intruza, dając znać domownikom, że ktoś obcy jest w pobliżu. Pojawia się właściciel i psy spokojnie odchodzą gdzieś za swoimi sprawami. Wiedzą, że ich rolę stróża przejmie człowiek, więc się oddalają, ale w razie potrzeby są w pobliżu i na pewno zareagują, gdyby zaistniała taka potrzeba.

Na innych podwórkach psy na łańcuchu nawet na moment w takiej sytuacji nie przestają szczekać. Reagują dopiero na ostry głos właściciela.

Opowieść o zażyłości człowieka z psami zaczyna się od najdawniejszych wspomnień. Wspomnień z dzieciństwa. A są one niezwykle, jak niezwykle są losy wszystkich osadników przybyłych na Ziemię Odzyskane, po zmianie politycznych granic Polski w 1945 roku. Rodzina Marka Bohdanowicza przybyła do Łupawy w 1946 roku z miejscowości Podgrodzie koło Wilna. Ojciec był stolarzem, a z zamiłowania myśliwym. Syn Marek przejął hobby, a wybrał zawód leśniczego. Z Podgrodzia, obok skromnego dobytku, przywieźli psa Filka. Pierwotnie chcieli go tam zostawić, bo jechali w niepewne. Poszukali Filkowi dobrego pana, który nie zmarnotrawi jego myśliwskich umiejętności. Niestety, pies tak rozpaczał, że musieli go zabrać ze sobą. Zdecydowali, że jeśli oni przeżyją to i pies nie zmarnie-

Pan Marek i jego psy

Pan Marek stworzył w Łupawie niezwykle miejsce - miejsce poświęcone jego wszystkim wspomnieniom o psach, które towarzyszyły mu w czasie wieloletniej pracy leśniczego i myśliwego

Je. Już w czasie podróży, Filek się odwdzięczył. Pociąg zatrzymał się gdzieś na Warmii na nocleg, a był to skład towarowy z przesiedleńcami, więc podróż trwała długo, bo pociąg musiał ustępować pierwszeństwa pociągom z wojskiem. Zmęczeni podróżą i niewygodą wszyscy spali, gdy Filek zaczął szczekać. Okazało się, że ktoś w nocy chciał wyprowadzić z wagonu krowę. Pies nie dopuścił do tego. Właściciel odzyskał zwierzę, a pies zyskał uznanie wszystkich i status

odszedł w 1958 roku. Miał jedenaście lat.

Pan Marek zamyślił się. - Wtedy pomyślałem, że trzeba jakoś zachować w pamięci te psy. Bo przecież towarzyszyły mi i w pracy, i na polowaniu, no i w domu. Znalazłem duży kamień, zawlokłem go na miejsce, gdzie zakopaliśmy psy. Mnóstwo czasu poświęciłem na mozolnym ryciu na kamieniu profilu psa, imion i dat. W ten sposób mogłem się odwdzięczyć za wierną służbę i za bezinteresowną przyjaźń.

wyodrębniony został kawałek gruntu obsadzony jodłami i świerczkami. Psy nie poszły za nami. Przycupnęły przy drzewie, czekając na powrót swojego pana.

- Kiedy nabyłem tę działkę i zacząłem budować dom, postanowiłem, że tu będę miał coś w rodzaju psiego cmentarza. Z pobliskiej rzeki wydobyłem kamienie i tu wykuwam imiona moich psów. To jest moja pamięć, moja wdzięczność, mój szacunek dla zwierząt, które mi towarzyszyły w życiu. Z poprzedniego miejsca przeniósłem imiona tylko, głazów nie ruszałem. Za ciężkie.

Myśliwy nachyla się nad kolejnymi kamieniami i płynnie opowieść o niezwykłych psach.

- Najślawniejszym w naszym myśliwskim gronie był chyba pies, którego nazywaliśmy Profesor Muki. Na polowaniu wszyscy myśliwi czekali na jego głos, bo on intonacją szczekania informował na tropie jakiego zwierzęcia jest. Tak, inaczej szczekał na dziką, na jelenia. Mądry to był pies i dlatego wszyscy nazywali go Profesor Muki. Sławny to był psiak i wielu chciałoby go posiadać. No i pewnego razu zaginął. Dałem ogłoszenie do „Łowca”. I nic. Po jakimś czasie, przez zupełny przypadek, znajomy myśliwy, będąc w Sierakowicach, usłyszał szczekanie psa. Poznał, że to Profesor Muki szczeka na kury. Powiedział mi i pojechałem. Faktycznie. Muki uwięziony przy kurniku. Właściciele kurnika twierdzili, że się przybłąkał. Akurat! Psy polujące nie przybłąkują się do kogoś. One mogą zabłądzić i zatrzymać się gdzieś na odpoczynek. Ufają ludziom, oswojone z myśliwymi oczekują od człowieka jedzenia, a nie wiązania na łańcuchu. Żaden myśliwy nie wiąże psa na łańcuch. Pies myśliwski ma w sobie ducha nieskrępowanej wolności, ale po wykonaniu zadania wraca do pana. One zawsze wracają do domu, nawet po kilku miesiącach. Tak.

Zapadło milczenie, wypełnione treścią nieznaną mi przeżyć myśliwego i jego psów. Bo niełatwo opowiedzieć słowami o tych niezliczonych momentach jedności mikrokosmosów: ludzkiego i psiego, o związku zobowiązującym, a jednak nie niewolniczym.

Wysoki, szczupły pan z bujną, aczkolwiek siwą czupryną pochyła się w zadumie nad kamieniami. Po chwili zaczyna mówić.



Fot. Archiwum

pasażera. Sława Filka rosła również po osiedleniu się w Łupawie, i jako stróża i jako psa doskonale sprawiającego się na polowaniu. Zważywszy, że ojciec pana Marka, stolarz i gawędziarz, potrafił barwnie opowiadać o zaletach swego psa, zabawiając klientów oczekujących na realizację usługi, wyczyny psa nierzadko wyolbrzymiając. Nic dziwnego, że przyglądając się psu swobodnie biegającemu po warsztacie, nabierali ochoty, by stać się właścicielem takiego geniusza. Toteż pewnego razu Filek zaginął. Wrócił po roku, aż gdzieś spod Gdańska.

Filek odszedł w 1956 roku przeżywszy dwanaście lat i wiernie służąc człowiekowi. Pierwszym towarzyszem i następcą Filka był ogar Rabuś, który wszystkiego o polowaniu nauczył się od niego. Filek i Rabuś tworzyli niezwykle duet myśliwski. Rabuś

Zapadło milczenie. Zastanawiał się chwilę.

- Princa nabyliśmy od pewnego Niemca w latach pięćdziesiątych. Wyjeżdżali na zachód, za Odrę i w zasadzie chcieli oddać psa w dobre ręce. Długo jednak wahali się. Ojciec sporo za niego zapłacił, mimo że to mieszaniec, ale od razu zauważył u niego żyłkę do polowania. Rabuś uczył go sztuki polowania. Zdumiewające, jak psy lubią się uczyć, jak chętnie się uczą od swoich pobratymców. A Princ dodatkowo był wielką atrakcją, bo potrafił wchodzić po drabinie, a za kotem to i na drzewo wlaź. Klienci ojca mieli wiele uciechy, obserwując pogoń Princa za kotem na drzewo.

Pan Marek prowadzi ledwie widoczną ścieżką w zakątek nad wyższym brzegiem rzeki, na granicę swojej posesji. Tu w rogu

postanowiłem, że tu będę miał coś w rodzaju psiego cmentarza



Mówi trochę ciszej, a palce prawie pieśczo-
tliwie przesuwają się po kolejnych ka-
mieniach, obrysowują wyryte napisy, gła-
dzą porowate wręby i delikatnie usuwają

mech. I toczy się opowieść o nadzwyczajnych towarzy-
szach. O jamniku Maksie, te-
rierze Dżekim, o posokowcu
Rokim, który zginął tragicz-
nie w czasie polowania, po-
traktowany przez jelenia ro-
gami... O Barym, bawarskim
posokowcu, który zaginął,
ale wrócił po pięciu miesią-
cach, ze szczątkami uwią-
zania na szyi.... O terierku
Sagim, który szesnaste lat
wiernie towarzyszył swemu
panu. O zaginięciach, po-
szukiwaniach i niespodzie-
wanych powrotach, gdy już
nie było nadziei...

- Psy na polowaniu cza-
sami się gubią, bo kiedy je-
dziemy na łowy to wsiada-
my wszyscy do bonanzy, al-
bo jedziemy swoimi samo-
chodami. Psy są w grupie.
Znają swojego właściciela,
ale i z innymi myśliwymi żyją
w przyjaźni, a przynajmniej
im ufają, bo to brać. Nikt ni-
kogo nie skrzywdzi i sprawiedliwie traktuje
wszystkie psy. I zdarza się, że po gonitwie
zmęczony pies wsiada do pierwszego lep-
szego samochodu, który jest otwarty. Za-

zwyczaj to samochód myśliwego, który
dowiezie psa na miejsce zbiórki. Czasami
może się zdarzyć, że wsiądzie do całkiem
obcego samochodu i wtedy... różnie to by-
wa. Jedni znający się, zabierają, odwożą al-
bo i nie, inni się boją, czekają, alarmują, aż
ktoś ich uwolni od kłopotliwego pasażera,
albo zadowoleni zawłaszczają psa. Tak było
z suczką Artą - była zawzięta, uparta i nie
odpuszczała, póki nie wykonała swojego
zadania, niesamowicie skuteczna. I z tego
znana w naszym gronie. Pewnego razu po-
lowaliśmy pod Domaradzem i tam mi zagi-
nęła. Co myśmy się jej naszukali, najeździli.
I nic. Wróciła po pięciu miesiącach.

Zapadło milczenie.

- Psy lubią jeździć samochodami.

Przypomniał mi się Garet, pies mojego
syna. Wielki, silny, mógł biec z prędkością
sześćdziesięciu kilometrów na godzinę i to
spory odcinek. Podziwialiśmy go za to. Naj-
bardziej jednak lubił jeździć samochodem.
Niech no tylko ktoś zostawił otwarte drzwi
do samochodu - nieważne, swój, czy obcy,
Garet natychmiast się w nim lokował. I nie
było mocnych, żeby go stamtąd natych-
miast wyciągnąć. Musieliśmy odczekać, aż
się znudzi i sam wyjdzie - ważył sporo, więc
o wyciągnięciu go mowy być nie mogło. No i
warczał głośno.

Opuszczamy to niezwykle psie miej-
sce i po kilku krokach dołączają do nas dwa

Szczęście jest w nas

*W dzisiejszych cza-
sach pojawiło się
wielu doradców, za
duże pieniądze ofe-
rują kursy, spotkania
z osobistym trene-
rem, żeby uczynić
nas szczęśliwymi.
Duży popyt na takie
usługi bardzo wy-
raźnie wskazuje na
to, iż ludzie potrze-
bują pomocy*

Czym właściwie jest szczęście? Po-
wszechnie oznacza ono udane życie. Z tym
stwierdzeniem łatwo się zgodzić, trudniej
jednak znaleźć odpowiedź na pytanie, jak
możliwa jest jego trwałość? Czy to tylko
kwestia stylu życia, a może nastawienia,
albo też okoliczności? Można mówić o szczę-
ściu dobrobytu, kiedy wszystko dobrze się
układa, doświadczamy uznania, osiągamy
sukcesy, ale można też myśleć o szczęściu,
które płynie z wnętrza, gdy człowiek żyje w
harmonii z samym sobą. Ten drugi sposób
postrzegania nie jest nam dany, zależy od
tego, czy pracujemy nad sobą i czy zdecy-
dujemy się na to, by bezwarunkowo zaak-
ceptować siebie i pożegnać się z iluzjami,
za którymi do tej pory goniliśmy. Ten rodzaj
szczęścia jest wyrazem nastawienia, na ja-
kie musimy się odważyć i który nie zawsze
będzie przychodzić z łatwością. To przede
wszystkim zgadzanie się na nasze życie, któ-
re na przykład z powodu niepełnospraw-
ności niesie ze sobą wiele trudnych chwil.
Kiedy zezwolimy na słabości będące w nas
przestaną one rozdzierać, poszerzą nawet
nasze możliwości. Nie można się ich wyzbyć,

ponieważ odciąlibyśmy wówczas cząstkę
siebie. Jeżeli natomiast pogodzimy się z ni-
mi, odczujemy spokój i będziemy szczęśliwi.
Ktoś, kto tak postępuje zwykle będzie zno-
sił krytykę, niepowodzenia czy ciosy losu ina-
czej niż ktoś, kto jest ciągle z siebie niezado-
wolony. Taka nieustanna zgorzkniałość nie-
jednokrotnie maluje się na twarzach osób
niepełnosprawnych, którzy nie pogodzili z
losem rzadko się uśmiechają.

Zastanawiając się nad szczęściem, na-
suwają się kolejne pytania: czy trzeba go
szukać, czy może samo nas kiedyś znaj-
dzie? Oczywiście, należy nad nim praco-
wać, gdyż nie dostajemy go tak po prostu
w darze. Pracować nad szczęściem to po
pierwsze żyć świadomie, żyć wszystkimi
zmysłami, wykorzystywać moc, która tkwi
w nas, poświęcić się jakiemuś zadaniu, czy
jakiemuś człowiekowi. Nie można go zbu-
dować w tym sensie, że będziemy na przy-
kład uprawiać jogging, dlatego że wytwa-
rzane hormony wywołują w mózgu pozy-
tywne emocje. To jest tylko chwilowe od-
czucie, nieposiadające właściwej mocy. Nie
istnieją żadne szybkie metody uszczęśli-

małe psy. Idą przed swoim panem, oglądając się co chwilę na niego, bo w tej rozmowie wielokrotnie padało słowo polowanie. Pewnie myślą, że szykuje im się przygoda i dlatego nie odstępują swego pana.

- To Funt i Dolar. Takie imiona dostały, gdy Polska weszła do Unii. Uwielbiają polowania. Kiedy wyjechałem do pracy za granicę, zostały z żoną i nie chodziły na polowania. Ale chyba za tym zajęciem bardzo tęskniły. Pewnego razu zniknęły. Żona się martwiła, bo to działka nieogrodzona, ruch na szosie, może wpadły pod samochód? A one pobiegły na miejsce zbiórki myśliwych, chociaż to ponad kilometr stąd i przyłączyły się do grupy. Przytomnie, zadzwonił kolega myśliwy, żeby się nie martwiła, bo Funt i Dolar są z nimi na polowaniu. Być może usłyszały gwizdek, a może trąbkę, a może tylko szczekanie sfory i pobiegły na miejsce zbiórki myśliwych, wsiadły do bonazy i pojechały. Po polowaniu wróciły grzecznie do domu. Psy lubią pracować, lubią się uczyć od siebie nawzajem i lubią się bawić.

Psy strzygły uszami, jakby rozumiały, o czym mówi ich pan. Szły przodem, ale ciągle się oglądały.

- Kiedyś na polowaniu ustrzeliłem dzika i szedłem za nim. Dzik schował się w takich chaszczach. W pewnym momencie ranny zwierzę ruszył na mnie. Nie miałem gdzie uciekać, bo gęste zarośla utrudnia-

ły jakiegokolwiek poruszanie. Manewru do strzelenia po raz wtóry też specjalnie nie miałem, bo w pobliżu były moje psy. Dzik wściekle zaczął szarżować. Pieski dopadły go z tyłu i próbowały odciągnąć, łapiąc za szynki. Jednak dzik nie reagował. Szedł na mnie. Różnie myślałem. Psy niezrażone wściekle szarpały dzika, chcąc zmusić go do zawrócenia się. Wreszcie się odwrócił na nie. Zaczęła się kotłownina. Psy dosłownie fruwały w powietrzu. Bałem się. Po chwili dzik odpuścił i poszedł w chaszczę. Przypadłem do moich psów. Były trochę poturbowane, ale nic groźnego. Odetchnąłem z ulgą. Patrzyły na mnie, zziębnięte, poturbowane, obolałe. Tak, tym psem zawdzięczam życie. Bo na polowaniu to pies najbardziej się naraża. To on podchodzi do zwierzaka jako pierwszy. Ranne zwierzę jest bardzo groźne, nieprzewidywalne i może w ostatnim agonialnym momencie zadać cios, nawet śmiertelny. A tego dzika nie znalazłem.

Patrzę na te dwa małe pieski, piesunię, takie kurdupelki, a proszę... Jakie to może być charakterne! Chociaż zawsze mówię, że takie małe pieski mogą być o wiele groźniejsze od tych wielkich. Te wielkie zdają sobie sprawę z przewagi i długo są spokojne, obojętne, nim wreszcie zdecydują się na atak, raz a porządnie, a takie niepozorne, które - wydaje się można kopnię-

ciem odrzucić - atakują zawzięcie, odrzucone, wracają, ponawiają atak... Chyba jednak te małe są niebezpieczniejsze. Chociażby z powodu zaskoczenia.

- No, ale na polowania to chyba powinny być duże psy, zważywszy na rozmiar jelenia, czy dzika - dzielę się swoimi uwagami z Markiem.

Myśliwy patrzy na mnie pobłaźliwie.

- Nic bardziej mylnego. To oczywiste, że na polowania w lesie nie nadają się duże psy. Za ciężko byłoby im przedzierać się przez chaszczę. Małe sprytnie się poruszają w największych zaroślach.

- A pomysł na utrwalenie w kamieniu i miejscu psich przyjaciół?

- No cóż. Psy to najwierniejsi przyjaciele, najbardziej bezinteresowni, najbardziej oddani i najmniej wymagający. Wiele razem nam się przytrafiło, więc jestem wdzięczny. I tak tę wdzięczność im okazuję. Ludzi upamiętnia się pomnikami, kronikami, opisami, albumami i dokumentami. To widać na cmentarzach. Okazałe pomniki, błyszczące w słońcu, często z wklejoną fotografią zmarłego, uwiecznione, zadbane, żeby wszyscy wiedzieli, że pamięć trwa. Wiele pomników wystawiono ludziom, którzy żadnymi uczynkami, wiernością, oddaniem nie dorównują psiom, a pomniki mają.

Teresa Nowak, Łupawa

wiania. Szczęście, które ma być długotrwałe, wymaga odpowiedniej wewnętrznej pielęgnacji. Oznacza to, że trzeba pozostawić iluzję, jakie stworzyliśmy w sobie, odrzucić złudzenia bycia człowiekiem perfekcyjnym, najlepszym, najbardziej inteligentnym, odnoszącym największe sukcesy. Musimy nie tylko pogodzić się z tym, kim jesteśmy, lecz także świadomie siebie pokochać. Prawdziwa i pełna radość przychodzi wtedy, gdy człowiek potrafi powiedzieć: godzę się na swoje życie i wcale nie chcę być kimś innym. Przestańmy zatem porównywać się z innymi i zazdrościć tym, którzy mają więcej i są w czymś

dlatego że uraża poczucie własnej wartości oraz nasze narcystyczne wyobrażenia.

W dzisiejszych czasach pojawiło się wielu doradców, za duże pieniądze oferując kursy, spotkania z osobistym trenerem, żeby uczynić nas szczęśliwymi. Duży popyt na takie usługi bardzo wyraźnie wskazuje na to, iż ludzie potrzebują pomocy. Jednak nawet najlepszy trener czy terapeuta, nie może dać nikomu skutecznej recepty na osiągnięcie szczęścia, bowiem droga do niego tkwi jedynie w nas samych. Jeżeli nie jesteśmy gotowi pożegnać się z pewnymi błędnymi przekonaniami o sobie, wtedy żadne kursy obiecujące szczęście w niczym nie pomogą. Ostatecznie niezbędna jest do tego także odrobina pokory i chęć pojednania się z ograniczonymi możliwościami, na które często napotyka się w swoim życiu osoby z różnego rodzaju dysfunkcjami.

Niektórzy twierdzą, że wcale nie szukali szczęścia, że to raczej ono ich znalazło. Rzeczywiście jest to możliwe, ale i w tym przypadku potrzeba określonej wewnętrznej

postawy, otwartości i wdzięczności. Jeżeli to, co spotyka mnie na zewnątrz, przyjmuję z wdzięcznością, wówczas szczęście często będzie mnie znajdować, nawet, jeżeli ja wcale go nie szukam. W związku z tym, że żyję postawą wdzięczności, jestem zdolny je dostrzegać, cieszyć się nim i odczuwać zadowolenie. Starajmy się być wdzięczni za to, co mamy i za to kim jesteśmy. Przecież można dziękować za tak wiele rzeczy, trzeba umieć dostrzegać choćby drobne dary, jakie również na człowieka niepełnosprawnego spływają w codziennym życiu. Przyjazne spojrzenie, dobre spotkanie, czy słowo, które podbuduje, podniesie, pokrzepi lub poruszy. Ludzie niewdzięczni nie są zdolni do radości. To wdzięczność nadaje życiu prawdziwy smak. Kto potrafi dziękować, zaczyna patrzeć na życie nowymi oczyma. Kiedy czujesz się słaby, wyczerpany i nieszczęśliwy, ciesz się z tego, co masz. Gdy patrzysz na swoje życie z wdzięcznością, ciemność się rozświetla, a gorycz zamienia się w radość. Takie podejście chroni przed zgorzknieniem i małostkowością. Kto patrzy na miniony dzień z akceptacją, humorem i dystansem do własnego ja, bez wątplenia będzie czuł się szczęśliwy.

W naszym świecie ciągle niedoskonałym powinniśmy zauważać dobro, ono spotyka nas każdego dnia. W ten sposób będziemy mogli czuć się szczęśliwi, może nie zawsze, ale coraz częściej.

Edyta Kołpaczewska
„Gazeta Mówiona”, Słupsk



bardziej doskonali. Całym sercem zapagniemy więc być

tym, kim jesteśmy. Nie jest to łatwe, niewątpliwie potrzebna jest tu zmiana w nastawieniu. Zrozumienie konieczności przemiany swojego podejścia wymaga wysiłku,

nad szczęściem należy pracować...

Tropem 267 włóczęgów po Dolinie Łupawy

Łupawski szlak od Czarnej do Gardny przemierzyło prawie 300 młodych słupszczyzan, pasjonatów regionoznawstwa



Chodzi o 42. już rajd w nieznaną. Którędy? Bardzo długim (67 km), malowniczym szlakiem Czarna Dąbrówka - Łupawa - Rowokół - Gardna Wielka; głównie na obszarze gmin Główny i Smołdzino z żywymi po dziś dzień tradycjami kaszubskosłowiańskimi.

Zainicjował tę arcyciekawą imprezę - poprzez Szkolne Koło Krajoznawczo-Turystyczne Rowokół w Żelkowie - późniejszy pierwszy prezes Klubu Turystów Pieszych Mikołajek przy słupskim Oddziale Regionalnym PTTK, Jerzy Brosz. U progu obecnej dekady „ster rządów” we wspomnianym klubie przejął liczący niespełna trzydzieści pięć lat, tryskający inwencją i energią „młodzieżowiec” Jacek Grabowski. Wraz z grupą swoich rówieśników, (Pauliną Kizlich, Natalią Kowalczyk, Łukaszem Marszałkiem i in.) kieruje on odąd tytułową włóczęgą po zakolach Łupawy. Ostatnio - pod koniec 2010 - łupawski szlak od Czarnej do Gardny przemierzyło prawie 300 (tak, tak) młodych słupszczyzan, pasjonatów regionoznawstwa. Ze wspólnym ogniskiem, pieczeniem kiełbasek i konkursami wiedzy o Pomorzu Środkowym nad jeziorem Gardno, zdobywaniem odznak PTTK, wożącymi autokarowymi na trasie Słupsk - Żelkowo - Słupsk. Wszystko za... 5-7 zł. Wniosek narzuca się sam: Wbrew rozpowszechnionym opiniom można zdzia-

łać, bez „subwencji” i własnych wyrzeczeń, doprawdy wiele. Trzeba tylko chcieć!

Garść ciekawostek dla Czytelników na temat rajdowej trasy, wynotowanych z przewodnika IT w ślad za dr. Albinem Orłowskim - publicystą „Szlaków turystyki pieszej w regionie słupskim”.

Czarna Dąbrówka - miejscowość przy drodze krajowej Słupsk - Kartuzy, w której kończy się zielony szlak turystyczny tzw. krajobrazów młodogłajalnych. Wszędzie wokół - mnóstwo pól, lasów. Im bliżej wsi Łupawa, tym bardziej stromy (dochodzący do 30 m!) brzeg rzeki.

Łupawa - osada wiejska datowana w annałach historycznych na 1310 rok. Z cenniejszych zabytków przywołać warto kościół parafialny z lat 1767-1772; murywany (nie z drewna), „salowy”, ze sporą wieżycą i dobudowanymi do nawy „suplementami”. Nie lada atrakcją stanowi też gład narzutowy o obwodzie 6,4 m i wysokości 3,5 m.

Rowokół, 115 m n.p.m. - ważny punkt nawigacyjny dawnych żeglarzy, miejsce pogańskiego kultu, cel średniowiecznych pielgrzymek i legendarne gniazdo piratów. Koło wieży obserwacyjnej (12 m) na szczycie góry - nowo odkryte cmentarzysko średniowieczne. Od 1435 do 1842, tj. dewa-

stacji resztek przez germańskich władców, znajdowała się tam również prastara kaplica chrześcijańska. Wzgórze, objęte przed ćwierćwieczem specjalną ochroną jako rezerwat leśno-krajobrazowy, ma powierzchnię aż 563 hektarów.

Gardna Wielka - pierwsze wzmianki na jej temat pochodzą z XIII w. Książę gdański Świętopełk założył tam, bodaj w 1288 roku parafię pw. św. Stanisława - Patrona Polski. W XVII wieku - przez 100 lat - Gardna korzystała z praw miejskich (!). Słynęła również z tego, że jeszcze AD 1852 w tamtejszym kościele katolickim ksiądz wygłaszał kazania po polsku. Do dziś przetrwała jedynie świątynia neogotycka z połowy XIX stulecia i starszy od niej (datowany na 1764 rok) dzwon. Ze współczesnych inwestycji godne odnotowania jest schronisko młodzieżowe PTSM oraz przystań Jachtklubu OR PTTK nad jeziorem Gardno.

Fot. J. Grabowski

Jeśli idzie - wreszcie - o uczestników i laureatów rajdu. W klasyfikacji zespołowej absolutny prym wiedli podopieczni Karoliny Machutty-Gałązki, Edyty Romańczuk-Ozdoby, Anny Wolikowskiej i Piotra Ceranowskiego z SKKT „Włóczykije” - SP nr 5 w Słupsku, Małgorzaty Karnickiej i Karoliny Marszałek z „Jantara” - ZSP 1 w Słupsku, Joanny Rebendy z SKKT „Warciludki” - SP w Warcinie oraz Renaty Mazur, Melanii Wolskiej, Mariusza Szczepłockiego i Macieja Ziatyka z SKKT „Żelki” - SP (oczywista) w Żelkowie.

W konkursie krajoznawczym młodzież ze słupskiej „piątki” została zdystansowana przez koleżanki i kolegów z „trójki”, a nawet przez uczniów... szkoły sołeckiej we Włynkówku. Drugi konkurs, test wiedzy turystyczno-topograficznej (sic), potwierdził błyskotliwość słupszczyzan (SP nr 1, SP 3); gwoli prawdy trzeba jednak odnotować, iż niewiele ustępowały im „prowincjonalne” drużyny z Warcina i Żelkowa.

Serdeczne gratulacje dla wszystkich, z organizatorami marszu 67-kilometrową „doliną Słupi bis” włącznie!

Jerzy R. Lissowski, Słupsk

W przeszłości wieś nazywała się Scojycino - 1258, Stoyentin - 1341, Stogutin - 1379, oraz Stojentin - do 1945 roku. Obecnie nazywa się Stowięcino. Z przekazów historycznych wiadomo, że w 1258 roku Świętopelk nadał Stojycino Norbertankom w Żukowie. Później w 1341 roku wzmiankowane było jako dobra lenne Stojentinów, nadane i powierzone przez księżęta pomorskie. W tym właśnie roku wymienieni zostali Bertold i Matzen ze Stoyentina, natomiast w 1379 roku Marcin i Bartek ze Stoguntina. W 1590 roku we wsi było siedmiu kmieci i dwóch zagrodników. Stojentinowie jako posiadacze wsi wymieniani byli jeszcze w 1618 roku, ale w 1717 właścicielem miejscowości był już Caspar Otto von Seger i wówczas wzmiankowano o sześciu kmieciach i trzech zagrodnikach. W 1732 roku natomiast włości były w rękach Jurgena Ludwiga Wobesera, później w 1762 roku Hauptmana Georga Heinricha v. Wobesera. W 1784 roku istniał we wsi folwark, było sześciu kmieci i trzech zagrodników. W 1804 roku jako właściciela wymieniano Hansa v. Wobesera. W 1853 - Ferdinand Schenemann za 91600 talarów kupił włości stowięcińskie, zaś w 1884 roku przejął je Otto Schenemann, a następnie, prawdopodobnie w 1906 roku znalazły się one w rękach Georga Scheunemanna. W 1914 roku w skład dóbr wchodziły również dwa folwarki: Schelow i Emilienhof. Ogólna powierzchnia majątku liczyła 840 hektarów, w tym było 741 ha pól, 61 ha łąk, 30 ha pastwisk, 6 ha lasu i 2 ha wód. W tym samym roku hodowano 49 koni, 327 sztuk bydła, 460 owiec i 250 świń. Do majątku należała gorzelnia i cegielnia. W 1925 roku w siedemdziesięciu dwóch domach wsi żyło 475 mieszkańców. W 1938 grunty majątku zajmowały 418 hektarów, w tym: 320 ha pól, 11 ha łąk i 15 ha pastwisk. W 1939 roku w Stowięcinie mieszkało też 475 osób.

Po II wojnie światowej właścicielem włości stał się Skarb Państwa, a później znalazły się one w obrębie Stacji Hodowli Roślin w Górzynie. Po 1992 roku majątek przejęła Agencja Własności Rolnej Skarbu Państwa i dzierżawiły go osoby fizyczne.

Według „Karty ewidencyjnej założenia parkowo - folwarcznego” zachowany w Stowięcinie park krajobrazowy pochodzi z XIX wieku. W czwartym ćwierćwieczu XIX wieku powstały także obiekty gospodarcze zlokalizowane na obrzeżach podwórze. Po 1945 roku zostały one w większości przebudowane. Pod koniec XIX wieku wybudowano również spichlerz i jeden dom robotników majątkowych. Założenie parkowo-folwarczne zlokalizowane jest w centralnej części Stowięcina, głównie po południowej stronie przebiegającej przez wieś szosy. Jego granicę wschodnią wytycza droga granitowa prowadząca do zabudowań wiejskich ustawionych w dolinie. Granicę południową wyznacza podstawa zbocza płaskowyżu. W skład założenia wchodzi trzy

W 1784 roku istniał we wsi folwark, było sześciu kmieci i trzech zagrodników. W 1853 - Ferdinand Schenemann za 91600 talarów kupił włości stowięcińskie, zaś w 1884 roku przejął je Otto Schenemann, a następnie, prawdopodobnie w 1906 roku znalazły się one w rękach Georga Scheunemanna

W Stowięcinie też mówiono po kaszubsku



części: parku, podwórze folwarcznego i kolonii domów robotników majątkowych.

Park krajobrazowy zajmuje południową część założenia parkowo-folwarcznego, rozplanowany został na malowniczym zboczu doliny, opadającej tarasami w stronę rozległej łąki, ciągnącej się w kierunku drzewostanu olszyny, dochodzącej do parku pałacowego w Górzynie. Dawniej na granicy parku z podwórzem, naprzeciw głównego wejścia do zespołu, od strony ulicy biegnącej przez wieś stał dwór. Jego elewacja frontowa zwrócona była na północ. Przy wschodniej ścianie dworu znajdował się ceglany mur oporowy, którego pozostałości przetrwały do czasów współczesnych. W odległości kilkunastu metrów na południe, półkolistie bieżnie natomiast górna krawędź zbocza wzgórze. W przeszłości drzewostan parkowy od południowego zachodu sąsiadował z ogrodem użytkowym, przy obrzeżu którego biegł szpaler grabowy - obecnie zachowany tylko częściowo. Po 1945 roku ogród użytkowy zamieniono częściowo na wybiegi dla bydła, w części południowej natomiast ustawiono współczesny budynek, do którego prowadzą z podwórze folwarcznego drogi dojazdowe. Starodrzew parkowy -

głównie liściasty składa się z klonów, kasztanowców i lip.

Obejście folwarczne składa się z dwóch obejmę gospodarczych: głównego i zachodniego. Główny wjazd do obejścia prowadzi od dojazdu do dworu - wysadzonego kilkoma drzewami, po którego wschodniej stronie znajduje się mniejsze i wyższe, drugie podwórze. Wschodnie obrzeże tego podwórze dochodzi do krawędzi zbocza, gdzie dawniej w kierunku zachodnim ustawiony był dwór.

Pierwszy kościół w Stowięcinie istniał w XV wieku. W źródłach wzmiankowany był już w 1519 roku. Należał do dystryktu kaszubskiego, kazania w języku kaszubskim głoszone były w nim do 1816 roku. Z pierwszego, gotyckiego kościoła pozostała tylko wieża, w XVII wieku bowiem wybudowany został drugi, ryglowy kościół z trójbocznie zamkniętym prezbiterium. W drugiej połowie XVIII w. dobudowana została zakrystia. Na skutek zagrażającej ruiny, kościół ten w 1961 roku rozebrano i na starych fundamentach w latach 1961 - 1963 wybudowano nowy.

Do czasu przebudowy dach budowli kryty był w większości gontem, później pokryty został eternitem. Usunięto również

ściany o konstrukcji ryglowej zastępując je murem z cegły. Świątynia jest obiektem jednonawowym ze stropem belkowo-deskowym. Do nawy przylega wybudowana z kamienia polnego czworokątna wieża z ośmiobocznym hełmem, kryta gontem. Południową i północną ścianę wieży zdobią ostrołukowe blendy z otworami okiennymi w górnych partiach, poza tym w ścianie wieży od strony drogi znajdują się dwa długie wąskie okna. Umieszczony w wieży portal jest ostrołukowy, uskokowy, drugie ostrołukowe wejście do świątyni znajduje się w ścianie północnej. Okna nawy i prezbiterium ze współczesnymi witrażami są również ostrołukowe. Ściany nawy i prezbiterium posiadają przypory. Do ośmiobocznego prezbiterium przylegają przybudówki, w jednej mieści się zakrystia, w drugiej kotłownia. Dachy nad nawą, prezbiterium i przybudówkami są dwuspadowe. W obecnej formie tylko wieża i jego ogólna bryła zachowały swój dawny wygląd, wewnątrz kościoła natomiast po przebudowie utraciło zabytkowy charakter, wyposażenie obiektu jest w większości współczesne.

Poza oryginalną wieżę w kościele zachowały się: wczesnobarokowy ołtarz główny z pierwszej połowy XVII w., barokowa ambona z XVII w., dwa lichtarze z drugiej połowy XVII w., późnobarokowy lichtarz z początku XVIII w. oraz barokowa skrzynia z 1639 roku. Świątynia poświęcona została w 1963 roku. Wcześniej, do 1945 była zbojem protestanckim.

Jak podaje Ernst Müller, ewangelicka parafia w Stowięcinie należała do Synodu Słupsk Stare Miasto przy kościele św. Piotra (aktualne Najświętszego Serca Pana Jezusa). Urząd proboszczów sprawowali w niej: Dawid Farschbotter (wymieniany w 1589 roku), Jakob Celugius (wymieniany w 1612 roku), Johann Badius (wymieniany w 1617 roku), Adam Bartholomäi (wymieniany w 1666 roku), Michel Bartholomäi (1667?-1713), Joachim Christlieb Barnmasser (1713-1758), Christian Wilhelm Pomian Pesarorius (1757-1789), Paul Georg Philipp Mamppe 1791-1843, Heinrich Eduard Meibauer (1843-1883), Hugo Karl Theodor Meibauer (1844-1920), Wilhelm Lüderwarldt (1922-1938) oraz Rudolf Kaun (1938-1940). Briggmann pisze, że jeszcze w XIX wieku modlono się w Stowięcinie po kaszubsku.

Kościół pw. św. Stanisława Biskupa i Męczennika, w Schematyzmie z 1949 roku ujęty został jako odrębna placówka duszpasterska licząca 711 wiernych, administrowana przez duszpasterza z Głównyc. Według akt archiwalnych Zgromadzenia Salezjańskiego, kościół obsługiwany był jednak przez księży z Głównyc. W porozumieniu z dziekanem słupskim, ks. Karolem Chmielewskim ustalono, że Stowięcino posiadające 1300 mieszkańców powinno stać się samodzielną placówką, a Cecenowo jego filią. Nominację na wikariusza współpracownika kościoła św. Ottona w Słupsku z rezy-

dencją w Stowięcinie otrzymał ks. Zygfryd Raiter z kurii gorzowskiej 30 sierpnia 1952 roku. Wkrótce dekretem z 5 grudnia 1952 roku przejął również jurysdykcję nad Cecenowem.

W 1949 roku do przynależnej kanonicznie do parafii św. Ottona w Słupsku placówki duszpasterskiej należało Stowięcino, odległa o pięć kilometrów Dargoleza, o trzy kilometry - Gątkowo i Górzyno, Michałowo, Szczelewo, o kilometr - Górzyno Wieś, o pięć kilometrów - Gorzysław, o dwa kilometry - Podole Wielkie, o sześć - Prebędowo i o cztery - Reksin. W Schematyzmie z 1959 roku jako przynależne do Stowięcina wykazane są również miejscowości: Cecenowo (odległe o jedenaście kilometrów), Gostkowo (2,4 km), Michnowo (2 km), Rzechcino (4 km), Szelewo (2,2 km), Wolina (9 km), Radosław (3 km). W imieniu Towarzystwa Salezjańskiego parafią w Stowięcinie zarządzali jako proboszczowie: ks. Zygfryd Józef Raiter - 1952-1959 (samodzielny wikariusz, zm. 27. VI. 2000 r. w Płocku), ks. Alfred Piotrowicz 1959-1971 (najpierw samodzielny wikariusz, od 11. I. 1968 r. proboszcz, zm. 8. XI. 1977 r. w Warszawie), ks. Józef Żak 1971-1979, ks. Arkadiusz Dąbrowski 1979-1987, ks. Jan Jermak 1987-1995 i ks. Bogusław Dyś 1995-1998. Pośługę duszpasterską proboszczów wspierali inni kapłani ze Zgromadzenia Salezjańskiego: ks. Henryk Frączek 1958-1960 oraz 1967-1968 (zm. 11. VIII. 1991 r. w Kutnie), ks. Tadeusz Malawski 1962-1963 (zm. 21. VI. 2005 r. w Swobnicy), ks. Zdzisław Kasprzak 1963-1964 (zm. 15. VIII. 1966 r. w Zakopanym), ks. Marian Barzowski 1964-1966, ks. Józef Urbanek 1966-1967 i 1970-1971, ks. Józef Żak 1967-1969 oraz ks. Tadeusz Rusiniak 1971-1972 (zm. 25. XI. 1988 r. w Trzcincej).

Funkcję katechetów, opiekunów grup ministranckich, kościelnych, a nieraz organistów pełniło tu również siedemnaście odbywających praktykę pedagogiczno-duszpasterską (tzw. asystencje) kleryków salezjańskich, spośród których później święcenia kapłańskie przyjęli i w Zgromadzeniu pozostali: ks. Roman Rak 1953-1954, ks. Stanisław Trus 1954-1955, ks. Władysław Ciszewski 1957-1958, ks. Stanisław Sadowski 1961-1962, ks. Stanisław Bogdański 1962-1963, ks. Stanisław Ługowski 1964-1966, ks. Stanisław Warszewski 1964-1966.

Kościół filialny pw. św. Jana Bosko w Rzechcinie (parafia Stowięcino) powstał w wyniku połączenia i adaptacji na cele sakralne dwóch mieszkań, tzw. bliźniaków. Budynki te w 1990 roku przejął od Agencji Rolnej Skarbu Państwa ówczesny proboszcz ks. J. Jermak, jego też staraniem obiekt dostosowany został do sprawowania eucharystii. Błogosławieństwa kościoła dokonał natomiast podczas dokonywanej wizytacji w lutym 1998 roku bp pomocniczy diecezji pelplińskiej, Piotr Krupa.

Salezjanów w Stowięcinie już nie ma, ale jako widzialny ślad ich wieloletniej obecności w parafii pozostał pomnik zało-

zyciela Zgromadzenia Salezjańskiego św. Jana Bosko. Inicjatorem budowy pomnika był ks. Arkadiusz Dąbrowski, jednak młodzież pracująca z tej parafii podsunęła temu proboszczowi myśl, by był to jej dar i sama zbierała fundusze. „W przekonaniu, że on jako genialny wychowawca młodych ludzi potrafi prowadzić bezpiecznie po własnych ścieżkach, wznieśliśmy ten pomnik, żarem młodych serc i pracowitych dłoni” - mówili później w swoim wystąpieniu reprezentanci młodzieży. Młodym pomagali starsi, głaz na cokół przywieziono z lasu, wyryto na nim napis stanowiący naczelną hasło ks. Bosko „Daj mi dusze...”, a z drugiej strony postumentu „Dar młodzieży 1981”. Wszystko to zanotowano w dokumencie, który włożono, w specjalnie do tego celu przygotowany otwór, zanim dwumetrową statuetkę, wykonaną przez artystę plastyka z Koszalina - Bolesława Gilewicza - osadzono na dwumetrowym cokole: „Roku Pańskiego 1981 w miesiącu wrześniu, gdy Ojcem Świętym był rodak Jan Paweł II, biskupem diecezji koszalińsko-kołobrzesckiej Ignacy Jeż, Inspektora św. Wojciecha zarządcą ks. Henryk Jaciencuk, dziekanem i dyrektorem wspólnoty był ks. Ignacy Czarnota, a proboszczem parafii Stowięcino ks. Arkadiusz Dąbrowski, w 80. rocznicę rozpoczęcia działalności Salezjanów w Polsce i 30. rocznicę pracy w Stowięcinie - młodzież parafii w darze i hołdzie swojemu patronowi i wychowawcy, ten pomnik funduje, podejmując troskę o: Świętość, Mądrość, Zdrowie. Podpisy: ks. A. Dąbrowski, Bolesław Gilewicz, Zdzisław Drywa (wojewódzki konserwator zabytków z Koszalina). Stowięcino, w dniu Imienia NMP 12.IX.1981 roku”. Poświęcenia dokonał 27 września tego samego roku ks. insp. H. Jaciencuk, a znany i ceniony poeta ks. Stefan Prus SDB z Łodzi napisał na tę okoliczność specjalny wiersz pt. „Książdz Bosko ze Stowięcina”.

W 1998 roku ks. Bogusław Dyś w imieniu Towarzystwa Salezjańskiego przekazał parafię Stowięcino Diecezji Pelplińskiej. Władze diecezjalne na proboszcza wyznaczyły ks. Piotra Sławomira Szutę.

Po II wojnie światowej parafia w Głównycach znajdowała się w granicach ustanowionej 15 sierpnia 1945 roku przez ówczesnego Prymasa Polski kard. Augusta Hlonda Administracji Apostolskiej Kamieńskiej, Lubuskiej i Prałatury Pilskiej - przekształconej w 1951 roku w Ordynariat Gorzowski - nazywany potocznie Diecezją Gorzowską. Następnie na mocy bulli papieża Pawła VI z 28 czerwca 1972 roku Episcoporum Poloniae coetus weszła w skład wydzielonej z tegoż Ordynariatu Diecezji Koszalińsko-Kołobrzesckiej, a po ogłoszeniu 25 marca 1992 roku bulli Jana Pawła II, Totus Tuus Poloniae Populus stanowi część Diecezji Pelplińskiej.

Eugeniusz Wiązowski, Kobylnica

SŁUPSKI KOLEKCYJONER



DODATEK SPECJALNY DO „POWIATU SŁUPSKIEGO” NR 1(4)/2011

Denary z mojej mennicy

W 2004 roku zrodziła się idea powstania mennicy usteckiej oraz denara usteckiego. Od ówczesnego burmistrza miasta Jacka Graczyka uzyskałem zgodę na postawienie mennicy i wybijanie denara jako pamiątki z pobytu nad morzem.

23 czerwca 2004 została hucznie otwarta mennica. Przy dźwiękach muzyki, lejącym się piwie i poczęstunku zorganizowanym przez firmę Korsarz były wybijane pierwsze denary. „Głos Pomorza” wówczas napisał: „Pierwszą w regionie słupskim mennicę otworzono na dolnej promenadzie. W namiocie bite są usteckie denary. Złote pamiątki znad morza sprzedają się jak ciepłe bułeczki.”

A oto treść legendy, która stała się m.in. powodem do utworzenia mennicy: Po powrocie z wypraw morskich, wycieńczony tułaczka Gwido wymagał długiej rekonwalescencji. Niestety matka Gwida - Marusza nie miała pieniędzy na leczenie syna. Po raz kolejny wyprosiła pomoc u Syrenki.

- Dobrze, pomogę ci, ale to jest ostatni raz! - oznajmiła Syrenka. Z tymi słowy odwróciła się, uderzając swym ogonem w nadchodzącą falę, wznecając fontannę wody. W miejscach, gdzie słone morskie krople dotknęły piasku, rozsypały się w promieniach słońca złote i srebrne denary do złudzenia przypominające rybie łuski. Marusza stała

jała. Do gwarne go portu nad Słupią z różnych stron świata przybywali bogaci kupcy i sprzedawali tu swój zamorski towar.

Zmieniały się czasy, stroje i znaki pieniężne, blask denarów usteckich też pomału śnie dzał i przygasał. I kiedy już wydawało się, iż cała sprawa uległa ostatecznemu zapomnieniu,

znalezli się ludzie, którzy odnaleźli i „wyciągnęli” z zapomnienia usteczką mennicę, dzięki której denar usteki zabłysnął z nową siłą.

Zaprojektowany przeze mnie w 2004 roku denar usteki na rewersie zewnętrzny obwód ma ograniczony wieńcem z plecionego sznura. W górnej części, po lewej stronie



Fot. Archiwum

znajduje się mewa w locie nad panoramą miasta i portu wpisana w owal zachodzącego słońca. Po prawej stronie umieszczona jest cyfra „1” określająca nominal denara. Dolna część to panorama portu i plaży z napisem „denar usteki” w dwóch wersach. We wszystkich biciach ta strona nie ulega

zmianie, natomiast w

Nie zachowała się matryca z pierwszego bicia i denary z roku 2004 są unikatowe i niepowtarzalne. Podczas bicia usteckiego denara w 2005 roku wzór pozostał bez zmian, tylko szarfy pod tarczą amazo nek ograniczone są gwiazdami z warkoczami. W 2006 roku na zewnątrz umieszczono jedną obręcz w kształcie łańcucha. Nad tarczą znajduje się mniejsza niż poprzednio liczba. Gwiazdy na końcach szarfy są też mniejsze niż poprzednie i odwrócone - spadające.

W 2007 roku wyszły dwa denary, bo zmienił się herb miasta. Na awersie nowego denara na zewnątrz znajduje się jedna obręcz w kształcie łańcucha. Nad tarczą wyraźna jest cyfra 2007. Kartusz herbowy i szarfy opisowe są uproszczone, w kartuszu jest nowy, zatwierdzony przez Radę Miasta herb Ustki, a pod nim napis „Stolpus Mundus”. Gwiazdy z warkoczami zwrócone są do góry.

Awers z 2008 roku ma obręcz w kształcie łańcucha. Nad tarczą widnie je wyraźna liczba 2008. Kartusz herbowy jest uproszczony. Po obu stronach tarczy gwiazdy rozciągnięte są w pionie.

W 2009 roku ukazała się specjalna pamiątkowa edycja denara pod honorowym patronatem byłego prezydenta RP Lecha Wałęsy z okazji 20. rocznicy obalenia ko-



przez chwilę oszołomiona, ale szybko wzięła się w garść. Pozbierała denary i wraz z synem podjęła decyzję, że będą pożyczac je ludziom na procent.

Tak między innymi rozpoczął swoją działalność pierwszy bank spółdzielczy w Ustce. Ten i wiele innych czynników sprawiły, iż mała rybacka osada prężnie się rozwi-

każdym roku zmienia się awers. Ten z roku 2004 zewnętrzny obwód ograniczony ma wieńcem w formie połączonych ogniw łańcucha. W środku w tarczy jest herb miasta Ustki, żaglowiec na falach, a pod nim syrenka z rybą. Pod tarczą jest szarfa z napisem: „STOLPUS MUNDUS”. Nad tarczą - rok bicia.

Fot. Archiwum

Fot. Archiwum

munizmu. Na edycję złożyły się trzy typy denarów wybitych profesjonalnie w mosiądzu, miedzi i posrebrzanych. Wszystkie są umieszczone w estetycznym etui i mają certyfikaty ze zgodą prezydenta na użyczenie jego wizerunku.

Denary te zostały po raz pierwszy zaprezentowane w maju 2009 r. podczas odbywającego się w Ustce IX Zjazdu Delegatów Polskiego Towarzystwa Numizmatycznego.

Rok 2010 był też ważny dla mennicy usteckiej, bo zostały wydane trzy nowe denary i otwarta została filia mennicy w

Rowach. Ponadto był to rok Chopinowski, dlatego został wydany denar z wizerunkiem Fryderyka Chopina. Przekazy głoszają, że Fryderyk odwiedził kiedyś Ustkę. Na nadmorskiej promenadzie postawiono mu nawet upamiętniający ten fakt pomnik...

Kwietniowa tragedia smoleńska przyniosła denara z wizerunkiem prezydenta Lecha Kaczyńskiego na tle krzyża Katyńskiego. Został wydany też nowy denar rowski, na którego rewersie widzimy w głębi górę Rowokół, a na jej tle stoi diabeł trzymający w ręku nominal z cyfrą 1. W dali -

lecące mewy, na pierwszym planie są jeszcze fale Morza Bałtyckiego.

Awers przedstawia koło z liny cumowniczej, w środku jest herb gminy Ustka przedstawiający w kartuszu w górnej części łódź z postawionymi żaglami. Pod nią jest konik polny na kłosie.

Mennica w Rowach w wybiła tylko denary w białym stopie, natomiast denary usteckie są wybijane w trzech stopach: mosiądzu, miedzi i tzw. białym stopie cyny i ołowiu, imitującym denara srebrnego.

Józef Jaskuła, Ustka

Dukaty lokalne

W każdym czasie funkcjonowania dukata lokalnego można go wymienić na złote polskie w przeliczeniu jego wartości 1 do 1. Po upływie czasu jego obowiązywania staje się on pamiątką, walorem numizmatycznym, który nie podlega wymianie.



Zanim spróbuję dokonać krótkiej charakterystyki „dukata lokalnego” dobrze będzie wyjaśnić dlaczego „dukat” i dlaczego „lokalny”? Dukaty - złota moneta o masie ok. 3,5 g bita w latach 1285-1797 w Wenecji, w XIV-XIX w. naśladowana w różnych krajach europejskich (od XVI w. dukat stał się określeniem każdej złotej monety tej wielkości). W Polsce pierwsze dukaty (floreny) wybito ok. 1330 roku za Władysława I Łokietka. W latach 1528-1831 regularnie bito dukaty polskie. (Źródło: Nowa encyklopedia PWN).

Pieniądz lokalny to pieniądz bity przez miasto, z reguły w oparciu o przywilej menniczny (np. Gdańsk, Toruń) lub ograniczoną czasowo koncesję monetarną (Elbląg). Na przełomie XIX i XX wieku, w związku z kryzysami finansowymi, szczególnie w okresie wojen, powstała nowa odmiana pieniądza lokalnego. Wiele miast, które nie posiadały wcześniej prawa monetarnego, opierając się na uchwałach rady miejskiej, rozpoczęły emisję pieniądza miejskiego. Ten typ pieniądza lokalnego wyróżnia emitent - magistrat danego miasta, np. Katowice

(1921), Wrocław (1948), Poznań (1916), jak i fakt, iż był z reguły papierowy (źródło: pl.wikipedia.org/wiki/Dukat_lokalny).

Mennica Polska na swojej stronie internetowej (www.dukatlokalny.pl/) dokonała charakterystyki dukata lokalnego. „Dukat lokalny to rodzaj bonu towarowego emitowanego przez miasta i gminy, który (...) służy głównie promocji regionu i upamiętnianiu ważnych wydarzeń w życiu społeczności lokalnych (...)”.

Choć każdy dukat posiada nominal i można wymienić go na usługi lub towary w wielu punktach na terenie miejscowości - emitenta, dukaty lokalne nie są monetami i nie zastępują prawnych środków płatniczych.

Biorąc pod uwagę powyższe określenia - definicje, trudno jednoznacznie znaleźć właściwe, wspólne określenie dla tego typu lokalnego środka „płatniczego”. Do czasu wypracowania takiego określenia można, za Mennicą Polską przyjąć nazwę „dukat lokalny”.

XXI-wieczny dukat lokalny, którego producentem jest Mennica Polska, ma ogra-

niczony czas, w którym można nim „płacić” za usługi lub towary w wyznaczonych punktach oznaczonych specjalnym plakatem informacyjnym, na którym zamieszczony jest awers dukata z dopiskiem: „Tu honorujemy”.

Obecnie dukaty lokalne posiadają wartości: 3, 4, 5, 6, 7 i 8 jednostek odpowiadających złotych polskich. W każdym czasie funkcjonowania dukata lokalnego (przy jego emisji wskazany jest okres, w którym jest on honorowany), można go wymienić na złote polskie w przeliczeniu jego wartości 1 do 1. Po upływie czasu jego obowiązywania staje się on pamiątką, walorem numizmatycznym, który nie podlega wymianie.

Większość dukatów lokalnych Mennica Polska wybiła na zlecenie poszczególnych miast (zainteresowanych szczegółami odsyłam na stronę www.dukatlokalny.pl). Do listopada 2010 roku wyemitowano łącznie 258 dukatów lokalnych (bez dukatów kolekcjonerskich wybitych w srebrze i złocie) odpowiednio w latach 2006 - 1 dukata, 2007 - 9 dukatów, 2008 - 63 dukatów, 2009 - 143 dukatów oraz do października 2010 - 42 dukaty. Pierwszym dukatem lokalnym były 3 Merk, którego emitentem była Jastarnia w 2006 roku. Dukaty te zostały wybite dla uczczenia 75-lecia Juraty. Szóstym dukatem, po I, II i III edycji Merk, 3 Przetakach z Biłgoraja oraz 4 Pizrenach z Pyzdr były 4 Słupie wyemitowane w 2007 roku przez dwumieście Słupsk-Ustka. Ponadto emitentami były województwa (3 Dukaty Kujawsko-Pomorskie), gminy (np. 4 Bryzy - Gminy Nadzalewowe), wyższe uczelnie (4 i 7 Staszyców - AGH Kraków, 4 UEKI - Uniwersytet Ekonomiczny w Krakowie, 4 Heliodory Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu), szkoły (4 Ekonomiki Zespołu Szkół Ekonomicznych im. Tadeusza Kotarbińskiego w Radomsku), fundacje (7 Cudów - seria „Parki Narodowe” - Narodowa Fundacja Ochrony Środowiska), stowarzyszenia (4 Zwierzaki - Towarzystwo Opieki nad Zwierzętami), 4 Trojaki - Polsko-Kanadyjskiego Klubu Numizmatyków i Filatelistów.

Jak już wspomniano dukat lokalny ma w szczególności promować miasto, region. Jest pamiątką z pobytu w danej miejscowo-

sci. Nie zajmuje dużo miejsca, a z upływem czasu „nie przeskadza”. Dukat lokalny ma również inny walor. Przy właściwej jego promocji nakład szybko się rozchodzi, przynosząc zysk emitentowi. Na przykład w 2007 roku Kuźnica - miejscowość na Półwyspie Helskim wyemitowała 3 Merk w nakładzie 20 tysięcy sztuk, które były honorowane w okresie od 1 maja do 30 września. Zainteresowanie było tak duże, że po nieznacznej zmianie awersu wyemitowano dodatkowo 50 tysięcy dukatów honorowanych w okresie od 1 lipca do 30 września.

W przypadku uczelni, fundacji, stowarzyszeń zysk może być przeznaczony na działalność statutową. Nakłady poszczególnych dukatów lokalnych nie są skorelowane z ich nominałem. Zasadą jest, że nominały 3 i 4 bite są w nakładzie 20 tysięcy, 7 - w nakładzie 15 tysięcy, a 8 - w nakładzie 10 tysięcy. Ale w każdej zasadzie są wyjątki. I tak na przykład 4 Słupie czy 4 Bryzy wybito w nakładzie 50 tysięcy, 4 Talary Gdańskie „Wałęsa” w nakładzie 120 tysięcy, 7 Walentynek z Chełmna w nakładzie 25 tysięcy sztuk 4 Dukaty na Szczęście (emitentem jest Mennica Polska) nakład ma otwarty a 4 Dobre Dukaty - Kampanii UNICEF „Reszta w Twoich Rękach” wybito w nakładzie 1 miliona (całkowity dochód przekazany zostanie UNICEF na pomoc potrzebującym dzieciom).

Nazwy dukatów są tak różnorodne, że opisanie ich tutaj wykraczałoby poza ra-

my tego artykułu. Większość dukatów lokalnych swoją nazwę zawdzięcza miastom-emitentom (np. 4 Kazimierze - Kazimierz Dolny, 4 Bogatynki - Bogatynia, 4 Kórnik - Kórnik). Upamiętniają one znane, zasłużone dla miasta, regionu postaci (np. 4 Mateusz, 4 Mężów z Lidzbarka Warmińskiego, 4 Fryderyki z Sochaczewa).

Na uwagę zasługują serie dukatów lokalnych. Najbardziej poszukiwaną jest seria latarni morskich. Ponadto wspomniana seria 7 Cudów. Inną serią będą postaci polskich filmów animowanych. Dotychczas wyemitowano 3 i 7 Białek - Reksio w Bielsko-Białej, 3 i 7 Łódek - Miś Uszatek w Łodzi, oraz 3 i 7 Koziółków w gminie Pacanów. Seria ta wybita jest z tak zwanym efektem kątowym (element na awersie, który oglądany pod kątem daje widok dwóch różnych obrazów). Kolejną serią ma być 7 Sztutaków z Kątów Rybackich z wizerunkami ptaków regionu (dotychczas wyemitowano Czapłę Siwą i Kormorana). Do serii można zaliczyć 4 Partnerki (emitentem są gminy partnerskie: Stare Miasto, Grodziec, Rychwał, Golina, Rzgów i Tuliszków). 3 i 7 Fregat z Gdyni. 3, 4 i 7 Rummeli z wizerunkiem dzika i lisa.

Podstawowym surowcem, z którego bite są dukaty lokalne jest mosiądz. Wszystkie dukaty lokalne o nominałach 3 i 4 zostały wybite z tego metalu. Dwa dukaty lokalne o nominale 5 Cidrów oraz 5 Gryfinów i

jeden o nominale 6 Sześciogrosz Zamojski wybito w stopie miedzioniklowym. Wyjątkiem jest 5 Talarów Goduli, który został wybity w mosiądzu. Dukaty lokalne o nominałach 7 i 8 wybite są w tak zwanym bikolorze. 7 - środek z miedzioniklu obrzeże z mosiądzu. 8 - odwrotnie (wyjątkiem są 7 Krzyżków wyemitowane w Malborku oraz 7 Lewinków z Lęborka, które zostały wybite w mosiądzu).

Decydując się na kolekcjonowanie dukatów lokalnych, trzeba w pierwszej kolejności zdecydować się czy będziemy pozyskiwać wszystkie wyemitowane, czy skupimy się na poszczególnych tematach (serie, postaci, zwierzęta, rocznicowe, regiony, województwa). Nasze hobby możemy rozpocząć w każdym czasie. Jedynie co musimy robić, to systematycznie sprawdzać zapowiedzi kolejnych emisji Mennicy Polskiej na jej stronie internetowej. Niestety, każde hobby kosztuje. Ale, gdy pozyskamy je po cenie nominału w trakcie jego honorowania, wydatek nie będzie duży. Jednak, gdybyśmy chcieli odtworzyć kolekcję, należy liczyć się, że niektóre dukaty lokalne, czy to na allegro, czy w sklepach numizmatycznych mają wartość wyższą niż ich nominały. Jak do tej pory najdroższym dukatem są 3 Merk z 2006 roku. Osiąga on cenę znacznie powyżej 100 złotych.

Janusz Grabowski
Słupsk

Medale Kobylnicy

Medale stają się coraz bardziej popularne, są coraz częściej emitowane. Poprzez swoją taniocść, stają się dostępne i poszukiwane.

W życiu społecznym medale spełniają wielorakie funkcje praktyczne. Służą do uświetnienia rocznic narodowych i obchodów, używane są też jako wyróżnienia, nagrody i upominki. Cieszą się powszechnym uznaniem ze względu na duże walory artystyczne i doskonałe wykonawstwo techniczne. Skrzętnie gromadzą je miłośnicy regionu, jako cenne i miłe sercu pamiątki.

Rozkwit medalierstwa zaznaczył się również w Kobylnicy. Gmina ta nie posiada tradycji medalierskich, jednak dzięki stara-

niom wójta Leszka Kulińskiego wyemitowano tu kilka medali pamiątkowych i okolicznościowych.

Pierwszy medal pamiątkowy został wyemitowany 1 września 2003 roku z okazji wręczenia sztandaru i nadania imienia „Zjednoczonej Europy” Gimnazjum w Kobylnicy. Na awersie tego medalu, na zielonym tle przedstawiony jest herb gminy podtrzymywany po bokach przez lwy, poniżej półka. W dole jest data: 1 września 2003 roku. W górze, w prostokącie na niebieskim tle znajduje się flaga Unii Europejskiej. W

zewnątrznym otoku medalu mamy napis: „Wręczenie sztandaru i nadanie imienia „Zjednoczonej Europy” dla Gimnazjum w Kobylnicy”. Projektantem krążka jest Stanisław Śliwa. Medal o średnicy 58 mm z mosiądzu, pokryty emalią, wykonano w firmie „Celstan” w Gdyni-Kosakowie.

Drugi medal poświęcony jest porozumieniu gmin bliźniaczych, które zostało podpisane 5 lipca 2004 roku w Kobylnicy. Na jego awersie w czterech wersach poziomo jest napis: POROZUMIENIE / GMIN / BLIŹNIACZYCH / KOBYLNICA 5 lipiec 2004. Na obrzeżu znajdują się emaliowane herby siedmiu gmin i napis: KOŚCIELISKO, VALGA, UUSIKAUPUNKI, KOBYLNICA, DURBUY, ORIMATTILA, OSTHAMMAR.

Na rewersie umieszczono emaliowany herb gminy, w dole w pół otoku napis:



GMINA KOBYLNICZA. Medal o średnicy 58 mm, z mosiądzu, pokryty emalią został wybity też w firmie „Celstan” w Gdyni-Kosakowie. Pomysłodawcą jego projektu jest Leszek Kuliński.

Kolejnym zasługującym na przedstawienie jest pamiątkowy medal „Zasłużony dla gminy Kobylnica”. Na jego awersie przedstawiony jest herb gminy, podtrzymywany po bokach przez lwy, poniżej - półka.

Na zewnętrznym otoku mamy napis: ZASŁUŻONY DLA GMINY KOBYLNICZA. I ten medal wykonał Stanisław Śliwa w firmie „Celstan” w Gdyni - Kosakowie.

Jan Radkowski, Słupsk

Papieski szlak z... medalami

Jan Paweł II od pierwszych dni swego pontyfikatu zyskał dużą popularność, która spotęgowana została bezpośrednim kontaktem z milionami wiernych na całym świecie.



wykonany jest z brązu patynowanego, lany o średnicy 120 mm.

Jego projektantem jest znany artysta plastyk Edward Iwański. Wykonano go w nakładzie 40 sztuk w Zakładzie „Olimpia” Radosława Kozłowskiego w Łęborku.

Ciekawostką jest to, że medal ten został wykonany z błędem na awersie, ponieważ w lipcu 1964 roku ks. Karol Wojtyła

Charyzmatyczna osobowość przyniosła Ojcu Świętemu wielką sympatię i popularność. Niezwykła popularność spowodowała olbrzymie zapotrzebowanie na posiadanie różnych pamiątek związanych z Janem Pawłem II. Emisja medalów związanych z osobą papieża nie była w tym przypadku czymś nowym, opierała się na wielowiekowej tradycji. Stolica Apostolska emitowała medale rocznicowe w kolejnych latach pontyfikatu papieża. Z chwilą objęcia pontyfikatu przez Jana Pawła II medale z podobizną papieża zaczęto bić masowo. Nie za-

przestano ich emitowania także po śmierci Ojca Świętego.

W kwietniu 2006 roku z inicjatywy samorządowców lokalnych powstał Papieski Szlak Kajakowy Słupią, który miał upamiętnić pobyt na Kaszubach i Pomorzu Jana Pawła II. Wójtowie gmin z burmistrzem Bytowa i prezydentem Słupska postanowili wzniesić w każdej gminie okolicznościowy obelisk upamiętniający Papieski Szlak Wodny Rzeką Słupią. Akty odsłonięcia poszczególnych obelisków zostały dodatkowo upamiętnione medalami, które wręczano uczestnikom uroczystości.

Pierwsza strona medalu poświęcona jest spływowi, a druga pierwszej rocznicy śmierci Jana Pawła II. Awers zawiera po lewej stronie wypukłe zarysowane popiersie ks. biskupa Karola Wojtyły. Po prawej napis: NA PAMIĄTKĘ / POBYTU W 1964 r. / Ks. BP KAROLA WOJTYŁY / Z „RODZINKĄ” / NA DUSZPASTERSKIM / SPŁYWIE KAJAKOWYM / RZEKĄ SŁUPIĄ. Pod napisem jest wgłębiony krzyż, w środku którego umieszczono odbicie kielicha liturgicznego.

Rewers medalu rozdzielony jest nurtem rzeki Słupi. Po lewej stronie mamy napis: SŁUPSK / GM. SŁUPSK / KOBYLNICZA / DĘBNICA KASZUBSKA / KOŁCZYGŁOWY / CZARNA DĄBRÓWKA / BYTÓW / PARCHOWO / SULĘCZYNO / SIERAKOWICE. Po prawej, w czterech wierszach jest napis: PAPIESKI / SZLAK / KAJAKOWY RZEKĄ SŁUPIĄ. W wydzielonym otoku mamy napis: W I ROCZNICĘ ŚMIERCI PAPIEŻA JANA PAWŁA II* GMINY I MIASTA 3.IV.2006. Medal



był już arcybiskupem krakowskim (w grudniu 1963 roku otrzymał nominację). Występuje też odmiana ww. medalu, który na awersie zamiast krzyża w prawym dolnym rogu posiada w tarczy herbowej, herb Gowidlina i napis: Gowidlino 10.09.2007. Medal ten na awersie ma już napis poprawiony i występuje na nim ks. abp. Karol Wojtyła. Wręczany był 10 września 2007 roku przez wójta gminy Tadeusza Kobięłę zasłużonym członkom Zespołu Budowy i Komitetu Organizacyjnego, po poświęceniu pięknej wotywniej ściany - pierwszy przystanek na modlitwę przed wypłynięciem na Szlak Papieski.

Ze Szlakiem Papieskim związany jest też wcześniejszy medal wyemitowany w 2004 roku z okazji 40. rocznicy spływu kajakowego Słupią abpa Karola Wojtyły przez Zrzeszenie Kaszubsko-Pomorskie w Słupsku. Na awersie tego medalu, na górze umieszczono napis: ABP KAROL WOJTYŁA PAPIEŻ JAN PAWEŁ II DUSZPASTERSTWO WODNIACKIE. Z lewej strony w kole jest popiersie Karola Wojtyły zwrócone w lewo. W dole mamy zarysy kajaków, fale i napis: SŁUPIA. Rewers zawiera fale i napis: LIPIEC 1964-2004, poniżej między falami napis: W 40. ROCZNICĘ SPŁYWU KAJAKOWEGO SŁUPIĄ ABPA KAROLA WOJTYŁY PAPIEŻA JANA PAWŁA II. Niżej fale i napis: ZRZESZENIE KASZUBSKO-POMORSKIE W SŁUPSKU.

Medal ten ma kształt spłaszczonego owalu, wykonany jest z brązu patynowanego, lany o wymiarach 110x80 mm. Zaprojektowany przez Jana Konarskiego, został wykonany w 40 egzemplarzach w Zakładzie „Olimpia” Radosława Kozłowskiego w Łęborku.

Jan Radkowski, Słupsk

VI POWIATOWY TURNIEJ KÓŁ GOSPODYŃ WIEJSKICH
JEZIERZYCE, 22 LUTEGO 2017



